

Nr 5 (96) – B Rok 16

Wrzesień–Październik 2010



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

Wołanie z Wołynia

Воляннiя з Волини

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Воляннiя з Волини*
Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka
pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.

Redaktor naczelny: ks. Witold Józef Kowalów.

Redakcja: Irena Androszczuk, ks. Władysław Czajka, Irena Dejneka,
ks. Grzegorz Draus, ks. Józef Kozłowski, Ludmiła Poliszczuk,
ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak, ks. Andrzej Ścisłowicz.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.

Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Adres redakcji:

✉ вул. Кардашевича, 1
35800 м. Остріг, Рівненська обл.
Україна

☎ & Fax + 380 (3654) 2-30-38

E-mail: vykovaliv@gmail.com

Świadectwo rejestracji: RW nr 187
z 15 maja 1997 r.

ISSN 1429-4109

Wydawca wersji polskojęzycznej:

✉ Ośrodek “Wołanie z Wołynia”,
skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin
<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>

**Czasopismo dofinansowano ze środków
Senatu RP dzięki pomocy
Fundacji**

“Pomoc Polakom na Wschodzie”.

Dobroczynców prosimy o wpłaty na konto:
Stowarzyszenie Ośrodek

“Wołanie z Wołynia”

PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC
nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

“Wołyński Słownik Biograficzny”:


<http://wolynskislownikbiograficzny.blox.pl/>

“Dziennik pisany nad Horyniem”:

<http://ostrog.blox.pl/>



SPIS TREŚCI

- s. 3-4: *Wspólnota religijna Ukrainy nie jest obojętna na takie haniebne i straszne zjawisko jak aborcja. Wystąpienie Biskupa Marcjana Trofimiaka na IV Narodowym Kongresie Bioetycznym*
- s. 4: *Modlitwa o łaski za wstawiennictwem biskupa Adolfa Piotra Szelążka*
- s. 5-6: Tomasz STRUŻANOWSKI, *Szerzył miłość dla Najwyższej Miłości*
- s. 7-9: Waldemar ROZYNKOWSKI, *Bp Adolf Piotr Szelążek. Biskup Wygnaniec w Zamku Bierzgwłowskim*
- s. 10: (bar), *Polscy pogranicznicy pojechali na Wołyń*
- s. 11-12: Ks. Mieczysław MALIŃSKI, *Grupy twórcze*
- s. 13: Bogdan GANCARZ, *Zwiastuny wspólnego polsko-ukraińskiego spojrzenia na historię*
- s. 14-15: Wiktoria RADICA, *Obchody katyńskie w Zdobunowie*
- s. 16-17: Feliks TRUSIEWICZ, *Reportaż z podróży na Wołyń*
- s. 18-21: Ks. Edward WALEWANDER, *Drzewo życia*
- s. 22-23: P.K.(opr.), *Ksiądz Marian Tokarzewski*
- s. 24-25: Marek A. KOPROWSKI, *Obecność polskiego konsula obraża pielgrzymów?*
- s. 26-29: Marek A. KOPROWSKI, *Matka Boża w Nietyszynie*
- s. 30: Diana Joanna CICHOCKA, *Kresowy dom*
- s. 31-32: Krzysztof KOŁTUN, *Liryki z serca*
- s. 33: AlBo, *Kresowy „Krzemień”*
- s. 34-38: Adam KRUCZEK, *Wołyńskie krzyże wokół Huty Stepańskiej*
- s. 40-41: Małgorzata SEKAŁSKA, *Kapłan do szpiku kości*
- s. 42: Br. Sławomir PŁOŃSKI OFMCap., *Zjazd przełożonych kapucynów na Ukrainie*
- s. 43-44: Anastazja ONOPRIJCZUK, *Zapomniana kapliczka*
- s. 45: *Kronika Parafii Ostrogskiej*
- s. 46-48: Krzysztof Rafał PROKOP, *Andrzej Lipski 1617–1623*
- 

Z życia Kościoła

WSPÓLNOTA RELIGIJNA UKRAINY NIE JEST OBOJĘTNA NA TAKIE HANIEBNE I STRASZNE ZJAWISKO JAK ABORCJA

Wystąpienie Biskupa Marcjana Trofimiaka na IV Narodowym Kongresie Bioetycznym

Przewodniczący Ogólnoukraińskiej Rady Kościołów i Organizacji Religijnych (dalej: ORKiOR) biskup Marcjan Trofimiak wystąpił na uroczystym otwarciu IV Narodowego Kongresu Bioetycznego, które odbyło się 20 września 2010 r. w Narodowej Filharmonii Ukrainy – informuje Instytut Wolności Religijnej.

W swoim słowie powitalnym biskup Marcjan podkreślił bezwarunkowe znaczenie Kongresu.

„W świecie, gdzie z każdym dniem rozszerza się kultura konsumpcjonizmu, logicznym skutkiem którego jest totalny egoizm, koniecznie trzeba przypomnieć ludziom o wartości życia ludzkiego i naszej wielkiej odpowiedzialności, zarówno przed Bogiem, jak i społeczeństwem” – podkreślił arcybiskup.

Według słów biskupa współczesne społeczeństwo, które nazywa siebie cywilizowanym, tworzy obraz człowieka, który wszystko może, i odpowiedzialnie dysponuje i swoim życiem, i życiem innych według swego uznania.

„Wolność człowieka, którą dał mu Pan Bóg, przerasta w swawolę, a stąd przestaje być wolnością, ale staje się niewolą grzechu. Wiele przykazań Bożych zaczyna się ze słowa «Nie», ale to jest nie tyle

zakaz, co drogowskaz, którym człowiek powinien kierować się, aby żyć uczciwie i szczęśliwie. Wśród nich: «Nie zabijaj!»” – oświadczył przewodniczący ORKiOR.

Według przekonania Arcybiskupa sztuczne przerywanie ciąży (aborcja), jako jeden z najstraszniejszych przejawów zniewolenia człowieka przez grzech, świadczy o upadku we współczesnej cywilizacji moralności jako takiej. Przecież chodzi o zabójstwo, i to w jednej z jego najpotworniejszych form – zabójstwo bezbronnego dziecka.

„Nie ma wątpliwości, że od momentu poczęcia mamy sprawę z człowiekiem, który może, jeszcze nie uformował się całkowicie, ale już jest żywą istotą ludzką pod sercem swojej matki. Przerywanie ciąży jest także poniżeniem wartości i godności kobiety jako matki i kontynuatorki rodu” – podkreślił biskup Marcjan Trofimiak.

W swoim wystąpieniu biskup oświadczył: *„Z niektórych trybun europejskich, z katedr uniwersyteckich w imię niby to pomnożenia dobrobytu, w imię zdeformowanego pojęcia wolności i demokracji proponują nam zręczne kłamstwo: dziecko nazywać płodem, jego katów – wolnymi w wolności wyboru rodzicami, a jego zabójców – lekarzami”*.

Biskup Marcjan podkreślił, że „wspólnota religijna Ukrainy nie może być obojętna i nie jest obojętną na takie haniebne i straszne zjawisko, które nazywa «cywilizacją śmierci» – propagowanie i legalizacja aborcji i eutanazji, klonowania, inżynieria genetyczna i inne”. Według jego słów wierzący wnoszą znaczący wkład w formowanie etyki, zdanej skierować nauki biomedyczne w kierunku ogólnego dzieła obrony praw i godności każdego człowieka od momentu jego poczęcia aż do naturalnej śmierci.

Na koniec przewodniczący ORKiOR zaapelował do uczestników Kongresu Bioetycznego aby nie ustępowali przed

trudnościami, mieli odwagę mówić prawdę, bronić ludzkiej godności i życia ludzkiego.

Należy zauważyć, że w ramach IV Narodowego Kongresu Bioetycznego z uczestnictwem przedstawicieli Ogólnoukraińskiej Rady Kościołów i Organizacji Religijnych 22 września 2010 r. odbyło się Sympozjum na temat „Moralno-etyczne aspekty sztucznego przerywania ciąży”. Impreza miała na celu poszukiwanie praktycznych dróg i efektywnych środków zapobiegania aborcji na Ukrainie.

Na podstawie materiałów:
www.irs.in.ua



Modlitwa

MODLITWA

o łaski za wstawiennictwem biskupa Adolfa Piotra Szelażka

Boże, Ojczy Wszchemogący, który obdarzyłeś sługę swego Biskupa Adolfa Piotra pełnią Chrystusowego kapłaństwa, mądrością w służbie Kościołowi, dobrocią serca wobec ubogich i pokrzywdzonych oraz ukochaniem drogi duchowego dziecięctwa, spraw, abyśmy wsparci jego przykładem stale wzrastali w wierze oraz w miłości Boga i bliźniego. Pozwól nam cieszyć się jego chwałą w niebie i udzielić łask, o które Cię za jego przyczyną z pokorą i ufnością prosimy.

Amen.



Świętymi bądźcie

SZERZYŁ MIŁOŚĆ DLA NAJWYŻSZEJ MIŁOŚCI

Zgromadzenie Sióstr św. Teresy od Dzieciątka Jezus (siostry tereziżanki) jest instytutem zakonnym, habitowym na prawie papieskim. Jego patronką i opiekunką jest św. Teresa od Dzieciątka Jezus.

SZERZYĆ MIŁOŚĆ DLA NAJWYŻSZEJ MIŁOŚCI

Cel zgromadzenia to dążenie do doskonałej miłości Boga przez wierne naśladowanie Jezusa i poświęcenie się dla zbawienia bliźnich. Hasłem zgromadzenia są słowa św. Teresy: „*Szerzyć miłość dla Najwyższej Miłości*”. Siostry starają się je realizować na co dzień poprzez modlitwę, pracę, stałą gotowość niesienia pomocy innym oraz cierpienie. Duchowość streszcza się w małej drodze, czyli drodze dziecięctwa duchowego, której fundamentem jest głęboka wiara i zupełne zdanie się na Boga, wyrażone w niezachwianej ufności w miłość i dobroć Ojca, który dobiera najodpowiedniejsze środki naszego uświęcenia oraz przyjmowanie wszystkiego w duchu poddania się Jego woli.

Charyzmat zgromadzenia to działalność wychowawcza w duchu św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Siostry uczą religii w szkołach, posługują w parafiach, prowadzą placówki opiekuńczo-wychowawcze, takie jak np.: dom pomocy społecznej i szkoła dla dzieci o znacznym stopniu niepełnosprawności umysłowej (Ścinawka Dolna w Kotlinie Kłodzkiej), świetlica środowiskowa (Suwałki) czy pogo-



towie opiekuńcze (Wasilków k. Białegostoku). Dom generalny znajduje się w Podkowie Leśnej k. Warszawy, a nowicjat w Rychnowie k. Ostródy.

Zgromadzenie liczy obecnie ok. 100 sióstr. Działa głównie na terenie Polski, w archidiecezjach warszawskiej, warmińskiej, białostockiej oraz w diecezjach świdnickiej, łomżyńskiej i ełckiej. Kilkanaście sióstr pracuje za granicą: we Włoszech (w Rzymie i szpitalu dla trędowatych w Gioia del Colle) oraz na Ukrainie – w Łucku i Berdyczowie. Jak widać, po rozpadzie Związku Radzieckiego możliwy stał się powrót tam, gdzie znajduje się kołębka zgromadzenia. Są już pierwsze powołania wśród dziewcząt Ukrainek.

CZY DOJDZIE DO PROCESU BEATYFIKACYJNEGO BISKUPA SZELAŻKA?

Siostry terezjanki zadbały o jak najlepsze udokumentowanie życia bp. Szelażka i z pełnym przekonaniem czynią starania w kierunku wszczęcia procesu beatyfikacyjnego. Na stronie internetowej zgromadzenia (www.terezjanki.pl) tak charakteryzują swego założyciela: „*Jako człowiek głębokiej wiary kierował się przede wszystkim miłością Boga, a w Bogu miłował każdego człowieka. Był zawsze do dyspozycji kapłanów, ale także i osób świeckich. Interesował się ich rodzinami i życiem religijnym. Szczególnie służył im posługą sakramentalną. Przeznaczony na wypoczynek czas często spędzał w konfesjonale. Miłość otwierała mu oczy na różnorakie potrzeby ludzi, którym chętnie służył pomocą*”. O tym – jak wielkiej próby człowiekiem, kapłanem i pasterzem był bp Szelażek – świadczy też jego nieugięta postawa wobec władz radzieckich, wobec których nawet w obliczu uwięzienia i wyroku śmierci, zamienionego później na wygnanie, nie wyparł się wiary i polskości.

Z informacji, które uzyskałem od kanclerza kurii toruńskiej ks. prał. Andrzeja Nowickiego wynika, że już wkrótce w diecezji toruńskiej zostanie powołana komisja historyczna w składzie dr hab. Waldemar Rozynkowski, dr Leszek Zygnier oraz dr Beniamina Karwowska, terezjanka. Jej celem będzie przygotowanie biogramu bp. Adolfa Piotra Szelażka, z uwzględnieniem jego pobytu na terenie diecezji chełmińskiej w latach 1945-1950. Zgromadzony materiał będzie mógł zostać przedstawiony przez ordynariusza toruńskiego bp. Andrzeja Su-

skiego na posiedzeniu Konferencji Episkopatu Polski. W gestii biskupów polskich będzie wówczas wydanie decyzji o wszczęciu procesu beatyfikacyjnego na szczeblu diecezjalnym (co uwarunkowane jest jeszcze uzyskaniem zgody Stolicy Apostolskiej).

Czy proces beatyfikacyjny będzie się toczył w diecezji toruńskiej? Niewątpliwie bardziej właściwym miejscem byłaby diecezja łucka, przywrócona do istnienia w 1998 r. Bolesne uwarunkowania historyczne w stosunkach polsko-ukraińskich każą się jednak spodziewać, że proces ten – o ile do niego dojdzie – zostanie podjęty przez naszą diecezję, na której terenie Biskup Wygnaniec umarł i został pochowany.

Wszyscy, którzy zetknęli się osobiście z bp. Szelażkiem lub mogą służyć informacjami o nim, proszeni są o kontakt:

Zgromadzenie Sióstr
św. Teresy od Dzieciątka Jezus
ul. Ejsmonda 17
05-807 Podkowa Leśna
tel. +48 22 758 99 97
e-mail: cst@wa.onet.pl

Tomasz Strużanowski



Świętymi bądźcie

BP ADOLF PIOTR SZELAŻEK BISKUP WYGNANIEC W ZAMKU BIERZGŁOWSKIM

9 lutego 2010 r. minęła 60. rocznica śmierci ordynariusza diecezji łuckiej na Wołyniu bp. Adolfa Piotra Szelażka (1865-1950). Niewielu wie, że biskup ten zmarł w podtoruńskiej miejscowości Zamek Bierzgłowski i został pochowany w kościele św. Jakuba w Toruniu. Historia jego życia – szczególnie ostatnie lata jako wygnańca w Zamku Bierzgłowskim – ilustruje barbarzyństwo minionego systemu. Obchody rocznicy śmierci Biskupa Wygnańca odbyły się w Toruniu i Zamku Bierzgłowskim. Ich organizatorem było Zgromadzenie Sióstr św. Teresy od Dzieciątka Jezus. 9 lutego o godz. 10.00 bp Andrzej Suski przewodniczył Eucharystii sprawowanej w kościele św. Jakuba. Współcelebrował bp Marcejan Trofimiak, obecny ordynariusz diecezji łuckiej na Wołyniu. W Zamku Bierzgłowskim odbyła się sesja popularnonaukowa poświęcona bp. A.P. Szelażkowi, poprzedzona odsłonięciem pamiątkowej tablicy, ufundowanej z inicjatywy marszałka województwa Piotra Całbeckiego. Dopelnieniem uroczystości był koncert Tomka Kamińskiego.

Urodzony 30 lipca (1 sierpnia) 1865 r. w Stoczku Łukowskim na Podlasiu, syn Stanisława – urzędnika gminnego i Marianny z Grigoriewów, utracił matkę, mając zaledwie półtora roku. Jego wychowaniem zajęła się druga żona Eleonora z Dobraczyń-



Zamek Bierzgłowski

Fot. Archiwum

skich. Szkołę powszechną ukończył w Żelechowie, gimnazjum w Siedlcach. We wrześniu 1883 r. wstąpił do Seminarium Duchownego w Płocku. 26 maja 1888 r. przyjął święcenia kapłańskie w katedrze płockiej.

2 sierpnia 1888 r. otrzymał nominację na wikariat w parafii św. Bartłomieja w Płocku, jedynej wówczas parafii na terenie miasta. Ponieważ w okresie seminaryjnym dał się poznać jako wybitnie zdolny oraz pracowity, we wrześniu 1889 r. został wysłany na studia do Akademii Duchownej w Pe-



tersburgu. 6 lipca 1893 uzyskał tytuł magistra świętej teologii. Następnie powrócił do Płocka i piastował ważne funkcje diecezjalne. W kwietniu 1904 r. wyjechał ponownie do Petersburga. Został tam delegowany przez kapitułę katedralną na jednego z czterech asesorów Rzymskokatolickiego Kolegium Duchownego w Petersburgu. Przebywał tam do 8 czerwca 1907 roku.

Po powrocie do Płocka zaczął wykładać w seminarium: prawo kanoniczne, filozofię, socjologię, asceetykę i ekonomię polityczną. W latach 1909-1918 pełnił funkcję rektora. W okresie rektorstwa odbył staż w Instytucie Psychologii Eksperymentalnej w Lipsku, poza tym zwiedził różne ośrodki naukowe w Niemczech i we Francji.

Wybuch I wojny światowej zastał go za granicą. Po powrocie do kraju

zaangażował się w dzieło reorganizacji Kościoła katolickiego w odradzającym się państwie polskim. Od 1916 r. brał udział w posiedzeniach i pracach Konferencji Episkopatu Prowincji Warszawskiej jako konsultor biskupa płockiego Antoniego Juliana Nowowiejskiego. Od marca 1918 r. pełnił funkcję naczelnika Wydziału Kościoła Katolickiego w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W związku z nowymi obowiązkami opuścił Płock i zamieszkał w Warszawie.

29 lipca 1918 r. Benedykt XV mianował ks. Szelażka biskupem tytularnym Barki i sufraganiem płockim. Jego konsekracja odbyła się 24 listopada 1918 r. – była to pierwsza konsekracja biskupia w odrodzonej Polsce. Większość czasu spędzał jednak nadal w Warszawie. W rządzie Antoniego Ponikowskiego pełnił kolejno stanowiska: rady ministerialnego, naczelnika Wydziału Kościoła Katolickiego, a wreszcie dyrektora departamentu. Był członkiem delegacji polskiej w pertraktacjach pokojowych w Rydze. Na początku stycznia 1925 r. rozstał się z pracą w ministerstwie.

Uczestniczył aktywnie w pracach nad konkordatem ze Stolicą Apostolską w latach 1921-1925. Na podstawie zawartego konkordatu Stolica Apostolska dokonała 28 października 1925 r. reorganizacji diecezji Kościoła w Polsce. Jednym z owoców tych decyzji było mianowanie 14 grudnia 1925 r. na ordynariusza diecezji łuckiej dotychczasowego biskupa pomocniczego diecezji płockiej Adolfa P. Szelażka. Jego ingres odbył się 24 lutego 1926 roku. Na ogromnym terytorium diecezji (ponad 40 tys. km²) działalność duszpasterską prowadziło

tylko 140 kapłanów. Jako ordynariusz: 1927 – zwołał synod diecezjalny; do 1939 r. utworzył ponad 70 nowych parafii, liczba księży wynosiła 240; zaangażowany w pracę na rzecz rozszerzenia unii Kościołów łacińskiego i wschodniego; w 1932 r. Stolica Apostolska mianowała ordynariusza łuckiego konsultorem Kongregacji ds. Kościoła Wschodniego.

Szczególną cześć posiadał do św. Teresy z Lisieux: uczestniczył w beatyfikacji (w 1923 r.), a następnie w jej kanonizacji (w 1925 r.) w Rzymie; nawiedził jej grób i udzielił tam święceń kapłańskich polskiemu diakonowi z diecezji płockiej; od 1928 r. święta ta była współpatronką diecezji łuckiej (pierwszym patronem był św. Stanisław); opracował projekt kapłańskiego Zgromadzenia Sług św. Teresy od Dzieciątka Jezus; od 1929 r. był członkiem Komitetu Budowy Bazyliki poświęconej św. Teresie od Dzieciątka Jezus w Lisieux; powołał do istnienia kółka św. Teresy – jako propozycję formacyjną dla dzieci; w 1936 r. założył Zgromadzenie Sióstr św. Teresy od Dzieciątka Jezus.

Po wybuchu II wojny światowej Łuck i cała diecezja zostały zajęte przez wojska radzieckie. Nowa władza wyrzuciła biskupa z pałacu, zamknęła Kurię i Seminarium Duchowne. Biskup zamieszkał w gmachu pojezuickim. Łatwiej nie było od czerwca 1941 r., tzn. od momentu zajęcia diecezji przez Niemców.

Ponieważ nie istniał praktycznie żaden kontakt biskupa ze Stolicą Apostolską, czyniono starania o ewentualne w razie potrzeby mianowanie nowego biskupa. Biskup pomocniczy lwowski Eugeniusz Baziak pisał nawet do Stolicy Apostolskiej, że bp

Adolf Piotr Szelażek prawdopodobnie nie żyje.

Latem 1944 r. wojska radzieckie zajęły ponownie Łuck. Organizująca się nowa władza próbowała namówić biskupa do odpowiedniego głosowania za odłączeniem tych terenów od Polski. Ksiądz Biskup, oczywiście, nie głosował, nawet gdy przyjechano do niego z urną. Pod koniec 1944 r. zaczęto wysiedlać Polaków z Ukrainy. Opuszczenie diecezji i wyjazd za Bug nakazano także bp. Szelażkowi. On jednak nie opuścił terenu diecezji, odpowiadając, że tylko papież może go odwołać. W efekcie został aresztowany w nocy z 3 na 4 stycznia 1945 roku. Był więziony w Łucku, Kowlu oraz Kijowie. Przypomnijmy, że Ksiądz Biskup był już w tym czasie sędziwego wieku – w więzieniu 30 lipca 1945 r. obchodził 80. urodziny. Wydano na niego wyrok śmierci – podstawą były głównie relacje biskupa o stanie swojej diecezji, a w tym o grabieżach i mordach dokonywanych na ludności jego diecezji.

Podjęmowano starania o uwolnienie biskupa; angażowała się Stolica Apostolska, dyplomacja amerykańska i biskupi z Polski. Szczególnie był zaangażowany biskup kielecki Czesław Kaczmarek, który w sprawie bp. Szelażka udawał się do Warszawy do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zabiegi dały pozytywny skutek i 14 maja 1946 r. został zwolniony. Musiał jednak opuścić swoją diecezję i udać się do Polski.

Waldemar Rozykowski

[„Głos z Torunia” (dodatek do „Niedzieli”) Rok LIII: 2010, nr 6 (790) J z 7 lutego 2010]

Ź nas na Wołyniu

POLSCY POGRANICZNYCY POJECHALI NA WOŁYŃ



Uczestnicy wyjazdu modlili się na żołnierskich cmentarzach
27 Wołyńskiej Dywizji AK w Rymaczach, Zasmykach i Bielinie

Fot. Archiwum NOSG

Z Wołynia wróciła grupa oficerów Nadbużańskiego Oddziału Straży Granicznej. Wraz z towarzyszącymi im rodzinami w ciągu dwóch dni złożyli wieńce i modlili się na żołnierskich cmentarzach 27 Wołyńskiej Dywizji AK w Rymaczach, Zasmykach i Bielinie.

– Nadbużański Oddział nosi imię właśnie 27 WDAK – mówi Jan Markowski, prezes Środowiska 27 WDAK w ramach Okręgu Wołyńskiego Światowego Związku Żołnierzy AK. – Dlatego też czujemy się specjalnie zobowiązani do kultywowania pamięci o patronie. Wiem też, że płk Marian Pogoda, komendant oddziału zamierza objąć patronatem cztery wołyńskie cmentarze, na których pochowani są żołnierze Wołyńskiej Dywizji.

Poza cmentarzami, uczestnicy patriotycznego rekoniesansu zwiedzili także bunkry Rejonu Umocnionego Sarny, starówkę wraz z zamkiem w Łucku oraz zachowane siedziby magnackie w Klewaniu, Ołyce i Ostrogu.

Zatrzymali się także przy ruinach kościoła w Kisielinie, gdzie banderowcy w

czasie wojny wymordowali niemal całą tamtejszą ludność.

Podobna eskapada ma być powtórzona także przed Świętem Zmarłych. Tym razem celem będzie ponownie żołnierski cmentarz w Rymaczach oraz podobna nekropolia w Bindudze.

(bar)

[„Dziennik Wschodni” (Lublin)
z 13 września 2010 r.]



Wierzyć w Chrystusa

GRUPY TWÓRCZE

Nikt nie powinien być samotną wyspą.

Stosunek do bliźnich. Nie chowaj się ze swoimi wiadomościami, odkryciami, pomysłami. Nie bój się, że ci je zabiorą, że będą bogatsi od ciebie, że ci zagrożą, bo będą mądrzejsi od ciebie o to twoje plus to swoje. Rozmawiaj, mów o tym, co cię interesuje, co uważasz za dobre, co uważasz za złe. Ciesz się ze swojego odkrycia i podziel się nim ze swoimi kolegami. To nie oznacza, że ty tracisz, a im dajesz, że ich wzbogacasz, a siebie przez to zubażasz albo nawet sobie zagrażasz. Zrozum, dopiero w mówieniu o tej rzeczywistości, którą udało ci się zobaczyć, odsłonią ci się nowe pokłady zagadnień, nowe elementy, których istnienia nawet się nie domyślałeś. Powiem ci coś więcej: dopiero w mówieniu zrozumiesz rzecz do końca, rzecz, która – zdawało ci się – stanowi twoją własność. To należy do jednej z tajemnic mowy ludzkiej. (Przyznam ci się, że nigdy nic nie napiszę, dopóki wcześniej tego nie powiem w jakiejkolwiek formie: kazania, wykładu, dyskusji).

Po drugie: dopiero w mówieniu zobaczysz luki w swoich odkryciach, braki konieczne do uzupełnienia i dopracowania tam, gdzie ci się zdawało, że wszystko jest oczywiste i jasne. Okaze się dopiero wtedy, że będziesz musiał dopowiedzieć szereg rzeczy, bo wyczujesz, że jesteś niezrozumiały. To, co tobie się zdawało oczywiste, dla twego otoczenia takie nie jest. Bo ty masz całe zaplecze swoich przemyśleń, znasz wszystkie podteksty, wystarczy ci je przywołać jednym sło-



wem albo jednym zdaniem. Dopiero gdy mówisz to komuś, trzeba je dopowiedzieć, ujawnić i wtedy przed tobą samym zaczyna się budować zwarta konstrukcja twoich koncepcji.

A po trzecie: dopiero mówienie – konfrontacja z poglądami innych ludzi – wykaże ci błędy, braki, przeskoki myślowe w twoich poglądach. Bo w myśleniu bardzo łatwo o jednostronność. Dopiero w dyskusji pod lawiną zarzutów, oporów, sprzeciwów będziesz zmuszony na gwałt dopracować, doprecyzować to, co było zbyt prymitywne, prowizoryczne albo wprost fałszywe.

Spróbuj mnie zrozumieć: możesz iść w górę tylko w cieście, nie samotnie. Ty masz być tymi drożdżami, nie zakalcem w twoim środowisku. Pójdiesz w górę

na zasadzie wymiany: ty ich poruszysz – oni ciebie poruszą, ty ich ubogacisz – oni ciebie ubogają. A to jest możliwe tylko w uczciwej grze, gdy się do końca otworzysz na sprawę, o którą ci chodzi, i na nich, z którymi żyjesz. Nie inaczej. Inaczej jest martwota, zastój, bezruch. Jak będziesz chciał być małym kupcem, który tylko sam się chce dorobić, chciwym na wszystko i zazdrosnym o wszystko, jak ten przysłowiowy pies ogrodnika, który sam nie zeźre i drugiemu nie da, to nigdy nie będziesz bogaty wewnętrznie. Jak będziesz człowiekiem, który tylko myśli o sobie, nic nie zrobisz. A szczęście było tak blisko.

Jeszcze raz powtarzam: możesz iść w górę tylko w cieście, a nie samotnie, dlatego też nie niszczy innych. W ten sposób niszczysz też siebie. Wbili ci niestety w głowę, że świat to jest walka i rywalizacja, a najprostszą sprawą – „ukręcić łeb” koledze wcześniej, niż zaczniesz być twoim rywalem, albo – gdy już jest twoim rywalem – „wykończyć go” za jego plecami. Skompromitować, wyśmiać, wykpić go w jakiś sposób. Wszystkich? Chcesz być zwycięzcą na pobjawisku pomordowanych przez ciebie? Zrozum, człowieku, niszcząc ich, niszczysz i siebie. A więc przypilnuj siebie, czy ty nie mówisz źle o swoich koleżankach, o swoich kolegach za ich plecami, żeby skończyć, żeby zlikwidować jeszcze jednego potencjalnego albo aktualnego rywala. Słuchaj siebie uważnie, bo ty jesteś sprytny i wiesz o tym, że nie wypada krytykować kolegi, bo mógłby słuchacz pomyśleć ze zgorzleniem o tobie. Wobec tego chwalisz długo i wylewnie, z tym, że na końcu tej litanii umieszczasz żądło: ale. Po serii pochwał ten jeden jedyny zarzut wycelowany pre-

czyzynie: w punkt, któryś ocenił jako najbardziej niebezpieczny dla siebie.

Samobójcy. Jak trudno mi nie myśleć w tym kontekście o nich. Trzeba stwierdzić, że wielu ludzi odbiera sobie życie na skutek czasem długoletnich, czasem krótkotrwałych szykan, jakimi byli maltretowani przez najbliższe otoczenie: przez „kolegów” i „koleżanki”. Potem jest pogrzeb i mordercy wygłaszają piękne przemówienia na temat przedwczesnego odejścia świetnie zapowiadającego się talentu i straty, jaką społeczeństwo poniosło. Myślisz, że za ciężkie słowo tutaj padło? Oni chcieli żyć. Ale tamci im nie pozwolili: upokarzali, deptali ich prawo do samodzielności i rozwoju, nie dopuszczali do zajęcia stanowiska, na którym mogliby zrealizować siebie i sprawdzić. To trwało. Przecież człowiek nie odbiera sobie życia z dziś na jutro, przecież to są stany psychopatyczne, które narastają, które się ciągną, które były do wyleczenia. A jednak nie było kogoś, kto by ochronił tego człowieka, nie było twojej ręki, nie było niczyjej troski, nie było twojej troski i doszło do tragedii. A czasem aż do takiej tragedii nie dojdzie, ale dojdzie do wykoślawienia psychiki. Spotykasz takiego połamanego człowieka, skrzywdzonego, wypaczonego. Czy jest szansa uratowania go? Czasem jest. Gdy będzie miał szczęście, gdy trafi na dobrego człowieka, który spróbuje z powrotem go na nogi stawiać, nauczy go normalnie chodzić po świecie. A może ty będziesz tym dobrym człowiekiem? Dobro każdego jest naprawdę twoim dobrem, jest dobrem ludzkości. „*Abyście byli dziećmi jednego Ojca, który jest w niebiesiach*”.

(cdn.)

ks. Mieczysław Maliński

Między sąsiadami

ZWIASTUNY WSPÓLNEGO POLSKO-
UKRAIŃSKIEGO SPOJRZENIA
NA HISTORIĘ

Film „Złoty Wrzesień” zrealizowany jest w konwencji, której na Ukrainie dotąd nie stosowano. Mamy tu bowiem do czynienia z dokumentem fabularyzowanym. Jak mówi reżyser Taras Chymycz, jest to format Discovery Historia. W filmie występuje ukraiński zespół wokalny Tercja Pikardyjska (znany raczej z lekkich aranżacji muzyki poważnej), który w fabularyzowanym fragmencie śpiewa „*Tylko we Lwowie*”. Dla widzów ukraińskich to może być nowość.

Kilka ogólnodostępnych pokazów filmu zorganizowała Rada Miejska we Lwowie. Reakcje są o tyle ciekawe, że wiele osób dopiero z tego obrazu się dowiedziało, jaki charakter miała okupacja sowiecka, jakie metody były stosowane wobec ludności tego miasta. W pracy nad filmem zaangażowany było Zachodnio-Ukraińskie Centrum Badań Historycznych. Instytucja ta poszukiwała świadków historii. Taras Chymycz wspomina również o pomocy historyków polskich.

„Złoty Wrzesień” jest już drugą jaskółką innego spojrzenia na historię niż to, do którego w przypadku Ukrainy przywykliśmy. Drugą dlatego, ponieważ od kilku lat we Lwowie ukazuje się cykliczne wydawnictwo zatytułowane „Encyklopedia Lwowa”. Teraz się ukazał jej trzeci tom. Warto o niej wspomnieć, gdyż jest to wydawnictwo monumentalne pod każdym względem. Ma ono wspaniałą oprawę graficzną. Do haseł użyto ikonografii zarówno współczesnej, jak i historycznej.

I co bardzo ważne – 95 procent haseł jest napisanych tak, że mogłyby zostać przedrukowanych w Polsce bez żadnych poprawek.

Jeśli chodzi o hasła biograficzne, to pierwszy tom zaczyna się od takich osób jak Abgarowicz Kajetan – polski Ormianin ze Lwowa, pisarz. Kolejne hasło: Abraham Władysław – słynny polski profesor prawa. I ciekawe następnie: Abraham Roman. To syn Władysława, polski generał, który brał udział w walkach w obronie Lwowa w roku 1918. I nie ma tam nic o tym, że to był straszny polski nacjonalista, który chciał zabrać Ukraincom Lwów. Jest obiektywne hasło encyklopedyczne. Dzięki takim publikacjom mieszkańcy Lwowa mogą czerpać wiedzę o dorobku zasłużonych dla tego miasta Polaków, Ormian, Żydów czy Niemców.

Takie wydarzenia jak „Złoty Wrzesień” czy „Encyklopedię Lwowską” warto więc nagłaśniać.

Bogdan Gancarz

Bogdan Gancarz – dziennikarz, historyk, redaktor krakowskiego oddziału „Gościa Niedzielnego”. Autor książki poświęconej Wiczesławowi Lipińskiemu – „*My szlachta ukraińska... Zarys życia i działalności Wacława Lipińskiego 1882-1914*” (Kraków 2006).



Dziedzictwo

OBCHODY KATYŃSKIE
W ZDOŁBUNOWIE**Modlitwom przewodniczył ks. prob. Andrzej Ścisłowicz**

Zawsze kiedy czegoś czekamy, to wydaje się to niesamowicie długo. Tak czekaliśmy na obchody Katyńskie w Zdołbunowie, żeby uczcić tych ludzi, którzy włożyli swój wkład w historię naszego miasta.

Dnia 18 lipca 2010 roku, rankiem o godz. 9.00 w kościele pw. św. apostołów Piotra i Pawła w Zdołbunowie, odbyła się Msza św. w intencji dwóch poruczników Wojska Polskiego Zygmunta Szuleckiego i Adama Domalewskiego. Połączyły ich dwie rzeczy: pierwsza, że obaj narodzili się w Zdołbunowie i druga, że zmarli w Lesie Katyńskim broniąc Ojczyzny.

W niedzielnej liturgii Mszy św., której przewodniczył ks. proboszcz Andrzej Ścisłowicz, oprócz parafian wzięli udział goście oficjalni: Konsul Generalny RP w Łucku pan Tomasz Janik, wice-konsul do spraw kultury pan Tomasz Adamski, sekretarz miejscowej rady miejskiej pani Walentyna Kapituła. To wszystko odbywało się pod akompaniament dwóch gitar i śpiewu harcerzy i harcerek miejscowych drużyn. Przyjemnie było słuchać jak śpiew podnosił się w górę i rozchodził po całym kościele. A przecież harcerze przygotowywali się do tego święta prawie miesiąc.



Konsul Generalny RP w Łucku Tomasz Janik podarował zdolbunowskim harcerzom guziki katyńskie

Wspominając historię widzimy, że por. Zygmunt SZULECKI, ur. 27 grudnia 1890 r. w Zdołbunowie, był burmistrzem Dąbrowicy do 1939 roku, zm. w 1940 r. w Katyniu. Drugi oficer, por. Adam DOMALEWSKI, ur. 24 grudnia 1907 r., s. Konstantego, zm. w Katyniu w 1940 roku. Hufcowy harcerskiego hufca ZHP w Zdołbunowie w końcowym okresie roku 1926. Oficer (porucznik) dowódca kompanii baonu KOP „Łużki”.

Po zakończeniu Mszy św. przemówili pan Konsul i pani sekretarz. Przypomnieli nam o wspólnej historii i o wpływie Polaków na życie Ukraińców, o rozwoju miasta w tamtych czasach i o wzajemnych wpływach kulturalnych. Potem wszyscy parafianie i gości spotkali się koło tablic zawieszonych na pamiętkę. Po wspólnej modlitwie i ich poświęceniu do odsłonięcia jednej tablicy byli zaproszeni pan Tomasz i pani Walentyna, którzy podobnie

jak Szulecki reprezentują władze; a drugą tablicę odsłonił ks. proboszcz A. Ścisłowicz i hufcowy druha Aleksander Radica. Jak zawsze Konsul nie opuszcza harcerzy bez prezentów. I tego razu podarował wszystkim harcerzom guziki katyńskie, a my ze swej strony też nie puściliśmy go z pustymi rękami – podarowaliśmy lalki-harcerki własnoręcznie zrobione przez nasze dziewczęta.

Na zakończenie zabrzmiała modlitwa harcerska. Słowa „...*Wszak Ciebie i Ojczyznę miłując chcemy żyć...*” pozostają aktualne dziś, jutro i pojutrze. Jednym dużym pozytywem jest to, że po 60 latach zapomnienia młodzież Kresowa przypomniła o swoich bohaterach, którzy urodzili się i żyli na ich ojczyściej ziemi i oddali za nią życie.

Wiktorina Radica
Fot. Aleksander Radica

Itinerarium

REPORTAŻ Z PODRÓŻY NA WOŁYŃ

Dnia 2 czerwca 2010 roku w towarzystwie moich synów Ryszarda i Andrzeja oraz wnuczki Ani, samochodem wyruszyłem na Wołyń w celu odwiedzenia zbiorowego grobu wymordowanej rodziny w Obórkach. Była to już czwarta nasza pielgrzymka do tego grobu.

Zatrzymaliśmy się w hotelu w Łucku, skąd na drugi dzień wyruszyliśmy do wsi Rudniki oddalonej od Łucka 50 km. W kierunku południowym od tej wsi, w gębkim lesie leżała kiedyś moja rodzinna miejscowość, kol. Obórki, spacyfikowana przez policję ukraińską w listopadzie 1942 roku. Wymordowano wtedy wszystkich mieszkańców tego osiedla – 10 rodzin. Ja wówczas cudem ocalałem. Po wymordowaniu mieszkańców Obórek budynki spalono. W miarę upływu lat, otaczający Obórki las, samoistnie rozrastał się i z czasem pochłonął cały teren byłej kolonii w wyniku czego mamy tam teraz gęsty dziki las wśród którego można spotkać: jakąś starą gruszę, pozostałą po licznych tu kiedyś sadach, fragmenty bżów, ślad po zarośniętym szuwarami stawie... Pozostał też wielki potężny dąb, który stał kiedyś w środku kolonii. Są to relikty tamtych czasów gdy tętniło życie osiedla, to są też niemi świadkowie tragicznego końca osiedla. Obecnie służą jako punkty orientacyjne w poszukiwaniu miejsc po domach kolonii.

Wśród tego dzikiego lasu, w trudno dostępnych chaszczach, leży opuszczona mogiła mieszkańców byłego osiedla. Ja i moja rodzina odwiedziliśmy tę mogiłę kolejno: w 1990 roku, w 1991 roku oraz w 2002 roku. Każdorazowo uporządkowaliśmy to miejsce, ogrodziliśmy i postawiliśmy drewniany krzyż z odpo-

wiednią tablicą informującą, że spoczywają tu mieszkańcy polskiej kol. Obórki, wymordowani przez Niemców i policję ukraińską 13 listopada 1942 roku. Przy każdym odwiedzeniu grobu widzieliśmy, że nikt z mieszkańców sąsiedniej ukraińskiej wsi Rudniki nie interesuje się nim, zawsze zastaliśmy go w stanie kompletnego opuszczenia – zarośnięty krzakami i zielskiem. Inaczej było przy czwartym, obecnym odwiedzeniu grobu. Ku naszemu zdumieniu zastaliśmy to miejsce uporządkowane i ogrodzone. Obok trzech krzyży, w kolejnych odwiedzinach przez nas postawionych, a obecnie będących już w stanie szczątkowym, zastaliśmy duży dębowy heblowany i pięknie wystylizowany krzyż, a na nim tablica przeniesiona ze starego krzyża. Kto to zrobił nie wiemy ale jesteśmy przekonani, że to dzieło Ukraińców, mieszkańców wsi Rudniki. Ten wspaniały akt solidarności z nami, życzliwości i szacunku dla ofiar spoczywających w tej mogile, wzruszył nas i obudził uczucie wdzięczności. Obok tych krzyży postawiliśmy nowy, stalowy przywieziony przez nas.

Zamiarem naszym było zaproszenie do Obórek księdza z kościoła katedralnego w Łucku. Było to jednak niemożliwe z uwagi na święto Bożego Ciała, które właśnie wypadło w tym dniu – 3 czerwca. W tej sytuacji zdecydowaliśmy się na poproszenie duchownego prawosławnego, Batuszkę Jarosława Masiniuka z Rudnik, który chętnie zgodził się poświęcić grób w Obórkach i odprawić modły za zmarłych według liturgii prawosławnej,

Taką decyzję podjęliśmy świadomi tego, że prawosławie jest religią chrześcijańską, bardzo bliską naszemu katolicy-

zmowi. Także z uwagi na to, że w mogile tej spoczywają szczątki zamordowanych osób pochodzenia ukraińskiego. Jest to niewiasta w wieku 30 lat i dziewczynka w wieku około 10 lat. (według Ukraińców z Rudnik pamiętających to tragiczne wydarzenie, grób ten kryje też szczątki Żydów ukrywanych przez obórczan) Nie bez znaczenia dla naszej decyzji był fakt, że poprzednik batiuszki Jarosława – batiuszka Szemetiło, w roku 1943, za słowa potępienia mordów na ludności polskiej, został zamordowany przez nacjonalistów ukraińskich. Takich przykładów przyjaznego stosunku do ludności polskiej w Rudnikach było wiele. Wymienię tu dwa. Tak zwany „Ślepy Wasyl” – rudnicki Ukrainiec, z narażeniem własnego życia, przez wiele miesięcy ukrywał pięcioosobową rodzinę polską Bolesława Trusiewicza, swojego sąsiada. Dzięki Wasylowi, rodzina ta doczekała się przyjscia armii sowieckiej i została uratowana. Drugim przykładem przyjaźni do Polaków była rodzina Danyły Czerniaka. W czasie pacyfikacji Obórek, Lisaweta – żona Danyły Czerniaka, usiłowała uchronić od śmierci moją mamę – Helenę, przetrzymywaną w domu Czerniaków przez policję ukraińską.

Helena wiedząc że wszyscy mieszkańcy Obórek zostali wymordowani, zrezygnowana i kompletnie załamana, nie skorzystała z tej możliwości ratowania życia.

Na oddzielne podziękowanie z naszej strony zasługuje Dmytro Marczuk, do którego w pierwszym rzędzie, jako starosty wsi Rudniki zwróciliśmy się z prośbą o pomoc w zorganizowaniu konnego transportu do miejsca grobu gdyż dojazd tam samochodem z uwagi na las, gęste zarośla i bagna jest niemożliwy. Spotkaliśmy się z niezwykłą życzliwością. Dmytro niezwłocznie dał do naszej dyspozycji swój

pojazd konny i osobiście zawiózł nas i batiuszkę Jarosława do grobu w Obórkach. Po naszym powrocie do Rudnik, gospodyni – żona Dmytra zaprosiła nas na wspólny obiad i dała nam w prezencie słoje zakonserwowanej słoniny, która jest przysmakiem wołyńskich Ukraińców ale również moim. Delektuję się tą słoniną odczuwając zapach mojej ziemi ojczystej – Wołynia.

Po obiedzie, przed domem Dymitra długo jeszcze prowadziliśmy rozmowę z mieszkańcami Rudnik. Później zwiedziliśmy piękną rudnicką cerkiew i w powrotnej drodze do hotelu w Łucku, odwiedziliśmy miasteczko Kołki gdzie przypadkowo spotkaliśmy bardzo sympatycznych ludzi – Pana Jerzego Maracza i jego małżonkę. Wkrótce po powrocie z Wołynia otrzymałem od pana Maracza bardzo długi miły list. Pan Maracz jest Ukraińcem ale doskonale mówi i pisze po polsku. I nic dziwnego, Pan Jerzy od władz polskich otrzymał zaszczytne wyróżnienie – zasłużonego dla kultury polskiej. Widzę już, że między nami powstanie długa nie korespondencyjna.

Tego samego dnia, po powrocie do Łucka, udaliśmy się do katedry na wieczorne nabożeństwo, a po nim, zamówiliśmy Mszę św. w intencji wymordowanych mieszkańców Obórek. Msza ta, miała być odprawiona 4 czerwca, czyli w następnym dniu ale my nie mogliśmy w niej uczestniczyć, gdyż we wczesnych godzinach porannych musieliśmy wyruszyć w powrotną drogę do Wrocławia.

Mieliśmy przed sobą długą, niepewną podróż, gdyż otrzymaliśmy informację o grożącej powodzi na trasie naszego przejazdu. Szczęśliwie zdążyliśmy przejechać zagrożone tereny i wieczorem, 4 czerwca, byliśmy w domu.

Feliks Trusiewicz

Dziedzictwo

DRZEWO ŻYCIA [1]

I. Sadzenie drzew dla upamiętnienia kogoś czy czegoś ważnego staje się u nas coraz częściej praktykowaną piękną tradycją. Uwieczniamy w ten sposób zarówno minione zdarzenia, jak i fakty, które przeżywamy współcześnie. Przez posadzenie drzewa chcemy przekazać jakiegoś istotne przesłanie tym, którzy przyjdą po nas.

Wszystko na ziemi zaczęło się od cudownego, pełnego wspaniałych drzew ogrodu, który nazwano rajem. Filozofia w czasach Platona rodziła się w ogrodzie pośród drzew. Jezus przed męką modlił się w ogrodzie oliwnym. Zawisnął na drzewie krzyża dla naszego zbawienia. Wszędzie, gdzie zatrzymujemy się na pewien czas, powinniśmy posadzić drzewo. Nawet najskromniejsze jest jak żrenica, dzięki której dostrzegamy to, co istotne.

Jezus zapytał kiedyś: „*Do czego podobne jest królestwo Boże i z czym mam je porównać?*” I odpowiedział tak: „*Podobne jest do ziarenka gorczycy, które ktoś wziął i posadził w swym ogrodzie. Wyrosło i stało się wielkim drzewem, tak że ptaki powietrzne gnieździły się na jego gałęziach*” (Łk 13, 18). Drzewo łączy to, co najniższe, z tym, co najwyższe, najwznioślejsze. Korzeniami ssie ziemię, liśćmi spija słońce. Zanurza się w mrokach, a oddycha w świetle. Najbardziej lubię drzewa w jesieni i zimą, kiedy ich nagość pozwala dostrzec bogactwo struktury. Pozbawione liści konary i gałęzie są wtedy jakby korzeniami, które próbują wbić się w niebiosa.

II. Sadzimy dziś małe drzewko dębu, który zapuści głęboko korzenie. Rozrosną się jego konary. Co nam powie? Co bę-

dzie zwiastować następnym pokoleniom? Każdy dąb to kartka z narodowej historii.

Najpierw powie tę chyba najważniejszą prawdę, jaką każda roślina ma do przekazania człowiekowi. Nie w gałęziach jest siła, ale w korzeniach. Tylko ten, kto jest głęboko zakorzeniony, przetrwa szturmę dziejowe i burze. Dzięki korzeniom drzewo zachowuje stabilność i siłę. Ponoć każde drzewo ma tyle korzeni, ile gałęzi. Korona drzewa odpowiada wielkości korzeni.

Drzewo żyje długo. Melchior Wańkowicz, dociekliwy obserwator wielu wydarzeń historycznych, wspominając swój dom rodzinny, napisał, że paliły się domy, „*niszczał dobytek, zamulały się rowy, próchniały płoty, rżesa wodna zaciągała wykopane stawy, trawa zarastała obejścia, kurhany, niby trąd, wyskakiwały na ornym polach – las trwał, las trwał*” [2].

III. Drzewo, które dziś sadzimy, ma upamiętnić ofiary zbrodni katyńskiej, a zwłaszcza podporucznika Zygmunta Przewalskiego (ur. w 1894 r.), którego rodzina wywodzi się ze starej szlachty osiadłej na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej. Z tej rodziny wywodzi się Mikołaj Przewalski, znany podróżnik i badacz Azji Środkowej, m.in. odkrywca dzikiego konia, który od jego nazwiska otrzymał miano „konia Przewalskiego”. Bieg życia podporucznika Przewalskiego jest niekwestionowanym przykładem pracy dla ojczyzny i walki o prawdę. Życiorys jego został opublikowany przez żyjącą wśród nas córkę Podporucznika [3].

Sadzone dziś drzewko dębu mówi o głębokich korzeniach rodzinnych i o majestatycznej, bo męczeńskiej koronie ży-

cia Zygmunta Przewalskiego. Od śmierci, na przełomie kwietnia i maja 1940 r., korona ta bardzo się rozrosła. Jest bowiem częścią naszego narodowego martyrologium.

Warto powiedzieć, że po ludobójstwie katyńskim ciągle w tajemniczy sposób znikali ludzie związani z tą bolesną tragedią, którzy mogliby odsonić o niej choćby rąbek prawdy. Jeden z głównych świadków masakry wieśniak Iwan Kriwozercow został znaleziony powieszony.

IV. „Rozważcie tylko czasy obecne i minione” – to słowa z Księgi Proroka Aggeusza (2, 15). W 1900 r. znana szwedzka pisarka i pedagog Ellen Key (1849-1926) rozpoczynający się XX wiek nazwała „stuleciem dziecka”. Pod takim tytułem wydała książkę, która szybko zdobyła powszechne uznanie i została przetłumaczona na wiele języków. Po polsku ukazała się już w 1904 roku. Key optymistycznie przewidywała, że XX stulecie będzie dla dzieci okresem szczęścia. Nie wiedziała, że człowiek tego wieku zaneguje istnienie Boga i wyrzuci Go poza nawias życia. Wskutek tego zgotuje dzieciom nieludzkie warunki życia. Nigdy wcześniej dziecko nie przeżywało takiej gehenny jak w minionym stuleciu. Przyczyną okrucieństw i ogromnych nieszczęść, które dotknęły nie tylko dzieci, były dwa systemy: niemiecki nazizm i sowiecki komunizm.

Katyń czy martyrologia Dzieci Zamojszczyzny to tylko jedno z wielu przykładów tragicznych skutków negacji Boga. Czemu nie wyciągamy wniosków z przeszłości? Dlaczego chcemy znowu budować nową rzeczywistość bez Boga? Nie będzie szczęścia dziecka – nie będzie naszego szczęścia – jeśli Bóg nie zajmie w życiu człowieka właściwego miejsca. Prognoza szwedzkiej pedagog nie sprawdziła się. Nie było stulecia dziecka, bo



nie znalazło się miejsce dla Boga Stwórcy. Skutkiem tego był pobliski Majdanek – niemiecki obóz śmierci oraz sowiecka zbrodnia w Katyniu.

V. Czy to wszystko minęło bezpowrotnie? A może pojawiło się obok nas coś nowego, co jest równie groźne dla człowieka – dla dzieci i przyszłych pokoleń? Warto postawić takie pytanie, bo uganiając się za bułeczką z masłem, często nawet nie zauważamy nic groźnego.

Na szczęście wojny znikają ze świata. Przede wszystkim dlatego, że są bardzo kosztowne i ryzykowne. Nieporównywalnie tańsza jest manipulacja. A przy tym nie niesie ze sobą żadnego ryzyka. W wojnie chodzi o narzucenie komuś własnej woli, żeby nie postępował po swojemu, ale po naszymu. Dzisiaj wielu decydentów dochodzi do wniosku, że nie ma sensu strzelać i zabijać. Z zabitego nie ma żadnego



pożytku, a z żywego może być. Dlatego ogromny nacisk kładzie się na propagandę. Z mistrzowskim pokazem manipulacji zetknęliśmy się 1 września na Westplatte podczas uroczystych obchodów 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej.

Obce firmy wykupują polskie tytuły prasowe. Mamy więc w naszym kraju prasę polskojęzyczną, ale w przeważającej mierze nie polską. To ona stale urabia naszą świadomość zgodnie z interesem właściciela, a nie z polskiego punktu widzenia. Od 17 września 2008 r. nawet nasz stary „Kurier Lubelski” przeszedł w ręce niemieckie. Do tego czasu było to jedno z nielicznych lokalnych pism codziennych pozostające w rękach polskich. Nie myślimy, że dziennikarze zatrudnieni w redakcji takiego dziennika mogą teraz pisać wszystko według własnego przekonania. Z pewnością nie ukażą się w nim choćby teksty dotyczące drugiej wojny światowej, w których Niemcy wypadaliby źle.

Człowiek poddany manipulacji w ogóle nie zdaje sobie sprawy z tego, że ktoś narzuca mu swoją wolę. Dlatego nie

stawia żadnego oporu, nawet w przypadkach oczywiście absurdalnych i dla niego niebezpiecznych. Stąd wszystkie rządy przywiązują tak dużą wagę do edukacji, propagandy i wszelkiego przemysłu rozrywkowego. Manipulacja nie jest celem samym w sobie. Jest tylko środkiem. Jej celem jest uczynienie z ludzi niewolników, którzy będą oddawali swemu panu żadaną przez niego część wypracowanego bogactwa. Z tego punktu widzenia propaganda jest znacznie lepsza niż wojna. Człowiek poddany terrorowi wie, że jest terroryzowany. Człowiek manipulowany myśli, że naprawdę wszystko tak jest, jak mu mówią i pokazują. Uważa swoją sytuację za normalną. Niczego nie pragnie i na nic już nie czeka. Za pośrednictwem manipulatorów można go eksploatować jeszcze sprawniej aniżeli za pośrednictwem żołnierzy.

VI. Znajdź więc czas, by rozważyć czasy minione i obecne. Rozmawiajmy o nich w naszych rodzinach. Nie tylko przy okazji takiej uroczystości jak dzisiejsza. Zastanawiamy się, jak tażeńszość wpływa na naszą przyszłość!

Drzewo rosnące na wolnej przestrzeni nie jest nigdy dziełem przypadku. Było posadzone bądź pozostawione po wyrębie z rozmysłem. Niech posadzony dziś dąb pozostanie dla nas na zawsze drogowskazem. Dąb symbolizuje ogień, oś świata, punkt zwrotny w życiu człowieka, drzwi do nieba, świętość, wiarę. Jest znakiem wytrzymałości, trwałości, długowieczności oraz nieśmiertelności. Oznacza moc, siłę fizyczną, ale przede wszystkim moralną, cnotę, odwagę, gościnność. Jest synonimem królewskości, majestatu, potęgi, wzniosłości, tryumfu, chwały, honoru, a także niepodległości. Liście dębu są wreszcie wymowną oznaką nagrody.

Nagrodę w postaci naszej pamięci zyskuje nasz bohater – podporucznik Zyg-

munt Przewalski. Jego życie dobiegło końca w strasznych warunkach sowieckiej kaźni. Jest on tragiczną ofiarą sowieckiego ludobójstwa na naszym narodzie. Choć zginął, jego życie się nie skończyło. Jak wierzymy, zmieniło się tylko. Żyje u Boga. Od Niego dostał zasłużoną nagrodę wieczną. Zarazem nadal pozostaje wśród nas. Jest naszą chlubą. Uczy męstwa, odwagi, wierności, miłości Ojczyzny. Wzmacnia naszą wiarę. Pomaga odczytywać znaki i zagrożenia, które są w każdym z nas i obok nas.

Mord na polskiej inteligencji w Katyniu był jednym z bolesnych skutków agresji Armii Czerwonej na Polskę. Ambasador RP w Moskwie Wacław Grzybowski nazwał agresję sowiecką „*ciosem w plecy*”, gdy 17 września 1939 r. został obudzony o godz. 3 nad ranem przez zastępcę komisarza spraw zagranicznych Sowieców Władimira Potiomkina, który usiłował wręczyć mu bezczelną w treści notę rządu sowieckiego. Według niej najazd na Polskę miał chronić „*pokrewną ludność ukraińskiego i białoruskiego pochodzenia*” oraz „*uwolnić naród polski od nieszczęsnej wojny*”. Ambasador Grzybowski nie mógł przyjąć tej kłamliwej noty.

Później pojawiły się jeszcze inne kłamstwa na temat Katynia, które utrzymywano dziesiątki lat. Nakazywano nam milczeć na ten temat. Dopiero teraz wreszcie możemy mówić, zdając sobie sprawę z tego, że tylko prawda może nas wyzwolić. Choć sygnały płynące z mediów rosyjskich na przełomie sierpnia i września bieżącego roku, a przede wszystkim wypowiedź premiera Władimira Putina na Westerplatte w dniu rocznicy rozpoczęcia drugiej wojny światowej mogą budzić obawy, czy prawda zostanie przyjęta. Nie jest ona jednoznacznie rozumiana również przez polityków w Polsce. Są i tacy, którzy zbrodni katyńskiej nie uznają za ludobójstwo.

Człowiek szlachetny brzydzi się kłamstwa. To samo dotyczy poszczególnych narodów. Bóg odrzuca tego, „*któ kłamstwo kocha i nim żyje*” (Ap 22, 15). Niech słowa nasze będą tak za tak, nie za nie. „*A co nadto jest, od złego pochodzi*” (Mt 5, 37). Po 70 latach od pamiętnej agresji nie możemy powiedzieć nic więcej ponad to, co oświadczył ambasador Grzybowski.

VII. Księga Mądrości uczy: „*Dusze sprawiedliwych są w ręku Boga [...]. Zdało się oczom głupich, że pomarli, zejście ich poczytano za nieszczęście i odejście od nas za unicestwienie, a oni trwają w pokoju*” (3, 1-3).

Podporucznik Zygmunt Przewalski był człowiekiem sprawiedliwym. Nie umarł. Jego dusza nie umarła i nie poszła w zapomnienie. U Boga otrzymała zapłatę za sprawiedliwość. Człowiek spełnia się w swej sprawiedliwości w Bogu.

Człowiek sprawiedliwy nie umiera też w pamięci ludzkiej. Jest wspominany z wdzięcznością. Żyje stale w ludziach poprzez swój przykład i czyny. Nie dosięgnie go zapomnienie!

ks. Edward Walewander

Przypisy:

[1] Kazanie wygłoszone na uroczystości posadzenia dębu dla upamiętnienia Polaków zamordowanych w Katyniu, m.in. Podporucznika Zygmunta Przewalskiego, wygłoszone 12 października 2009 r. w kościele p.w. NMP Matki Kościoła w Świdniku.

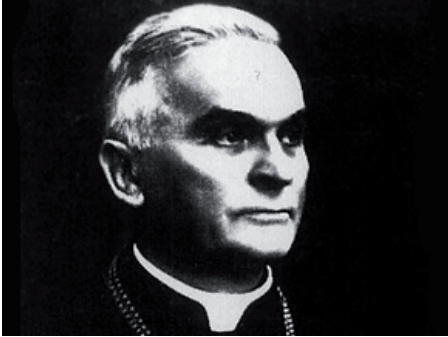
[2] Melchior Wańkowicz, „*Szczenięce lata*”, Warszawa 1957, s. 120-121.

[3] B. Zwolińska-Przewalska, „*Przewalski Zygmunt*”, w: „*Lubelska lista katyńska*”, red. A. Winiarz, Lublin 1997, s. 130-133.



Kapłani diecezji łuckiej

KSIĄDZ MARIAN TOKARZEWSKI



Urodził się 2 lutego (starego stylu) 1874 r. w majątku Szepinki, gminie marianowickiej powiatu Mohylewskiego. Jego rodzicami byli Wilhelm i Eleonora Smolińska. *„Nie pałace i chaty wiejskie wychowały przyszłych kapłanów na kresach – pisał ks. Tokarzewski – lecz dwory, dworki, te reduty kresowe, dotąd ani zepsucie wielkoświatowe, ani zbytek wielkopański, ani duch moskiewski, dostępu znaleźć nie mogły”*.

Taki właśnie szlachecki dworek kresowy był jego domem rodzinnym. Do szkoły średniej chodził w Kamieńcu Podolskim, zaś seminarium duchowe ukończył w Żytomierzu. Na mocy specjalnej dyspensy otrzymał święcenia kapłańskie w 1896 roku, mając zaledwie 22 lata i 4 miesiące.

Po otrzymaniu święceń ks. Tokarzewski został wikariuszem w Braclawiu. Na skutek rozmaitych szykan ze strony władz carskich, które zwalczały katolicyzm na dawnych kresach Polski ze szczególną zaciekłością, ks. Marian Tokarzewski był przenoszony nieustannie z parafii do parafii. Kilkakrotnie za swą patriotyczną postawę był też skazywany na odosobnienie

w klasztorze w Zasławiu. Wreszcie administracja rosyjska dekretem generała-gubernatora Klejgelsa wydalila go poza diecezję łucko-żytomierską.

Miejscem zesłania był Jarosław, gdzie ks. Tokarzewski spędził prawie 5 lat. W 1915 roku na pierwszym zjeździe Polaków w Moskwie ks. Marian Tokarzewski napiętnował z wielką odwagą Rosjan za ich stosunek do Polaków. Na prośbę biskupa Jana Cieplaka objął w lutym 1917 roku probostwo w Taszkencie, obejmując opieką duszpasterską cały Turkiestan, gdzie kończył rozpoczętą przez zmarłego poprzednika budowę kościoła i sprawował rząd dusz nad rzeszą wygnańców i jeńców wojennych.

W połowie 1917 roku ks. Tokarzewski wraca z Baru, gdzie od 3 maja tego roku obejmuje probostwo i funkcję te sprawuje do czerwca 1920 r. Wykazał tam wielką aktywność organizując szkoły, opiekując się prześladowanymi Żydami i uczestnicząc w konspiracji niepodległościowej.

Ofensywa wojsk polskich w 1920 roku przyniosła wyzwolenie. Ks. Marian Tokarzewski korzystając z nowych możliwości wyjechał na krótko do Warszawy. Jednak szybko zmiana sytuacji na froncie uniemożliwiła mu powrót do Baru. W niepodległej Polsce włącza się ks. Tokarzewski w nurt życia politycznego. Zostaje początkowo kapelanem marynarki w Toruniu (od 5 lipca 1920 r.), a później kapelanem garnizonu warszawskiego, rejon Łazienki.

8 października 1920 r. zostaje mianowany zastępcą dziekana okręgu wojskowego w Warszawie. Następnie od 8 listopada tego roku sprawuje funkcję kapelana

Naczelnika Józefa Piłsudskiego. Potem zostaje kapelanem prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego.

Po „przewrocie majowym” w 1926 roku ks. Marian Tokarzewski od 15 listopada obejmuje parafię w Grodzisku Mazowieckim, zmieniając na tym miejscu ks. Mikołaja Bojanka. Ks. Bojanek zostaje kapelanem Prezydenta RP Ignacego Mościckiego. Nowy proboszcz z wielką energią i zaangażowaniem zajął się remontem starego kościoła św. Anny, jemu też zawdzięczają grodziszczanie kaplicę Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia usytuowaną we wschodniej części cmentarza kościelnego.

Ksiądz Marian Tokarzewski zyskał sobie sympatię i popularność wśród mieszkańców Grodziska. Znany był z surowości i bezkompromisowości, potrafił z ambony wytknąć po nazwisku zatwardziałe grzechy parafian...

Ks. Biskup Józef Gawlina w „*Dzienniku biskupa polowego Wojska Polowego*” pisze, że w czasie wizyty Nuncjusza Apostolskiego podczas sumy w katedrze w Łucku wygłosił kazanie ks. Tokarzewski. „*Roznosi go temperament. Kazał słuchaczom wstać i głośno wobec Nuncjusza wołać, iż będą bronili wiary i Polski*”.

W 1935 roku zostaje przeniesiony na probostwo w Nowym Dworze Mazowieckim, potem wykładał homiletykę i teologię pastoralną w seminarium w Łucku. Od 1931 był proboszczem w Kowlu, od 1935 kowelskim dziekanem.

Po wybuchu wojny w 1939 r. sprawował dalej swoje funkcje aż do aresztowania przez NKWD w 1940 roku. 1 listopada tego roku odbył się proces ks. Tokarzewskiego i towarzyszy, oskarżonych o przygotowanie spisku antysowieckiego. Wszyscy oskarżeni zostali skazani na karę śmierci. 1 kwietnia 1941 roku wywieziono ks. Mariana Tokarzewskiego

z łuckiego więzienia w nieznanym kierunku.

Ks. Marian Tokarzewski był odznaczony orderami i medalami Rzeczypospolitej: Krzyżem Walecznych po raz pierwszy i po raz drugi, Krzyżem Niepodległości, Orderem Polonia Restituta IV klasy, Dystynktorium Kanoniczym. W Wojsku Polskim miał stopień pułkownika. Ks. Tokarzewski był infułatem, pro notariuszem apostolskim, kanonikiem honorowym kapituły łuckiej, szambelanem papieskim.

25 października 1921 roku w Pałacu Belwederskim udzielił ślubu Józefowi Piłsudskiemu i Aleksandrze Szczerbińskiej. Generał Michał Karaszewicz-Tokarzewski i ks. Marian Tokarzewski pochodzili od wspólnego przodka (w czwartym pokoleniu) Michała Karaszewicz-Tokarzewskiego, podcaszego mińskiego. Ks. Tokarzewski był autorem wielu książek, w tym pamiętników pt. „*Straż przednia (ze wspomnień i notatek)*”.

opr. P.K.

Na podstawie: Marek Cabanowski „*Grodziszczanie część 3*”, Arkuszowa Drukarnia Offsetowa, Grodzisk Mazowiecki 2003, s. 93-96.

25 lutego 2009 r. na Radzie Miasta Grodziska Mazowieckiego odbyła się dyskusja nad uhonorowaniem jednej z ulic w mieście imieniem ks. Mariana Tokarzewskiego.

Relację z posiedzenia można przeczytać na stronie:

P.K., „*Poszukiwanie ulicy dla ks. Tokarzewskiego*” //

<http://infogrodzisk.pl/samorząd/radamiasta/48-poszukiwanie-ul-dla-ks-tokarzewskiego>



Scripta manent

OBECNOŚĆ POLSKIEGO KONSULA OBRAŻA PIELGRZYMÓW?



Mocno zaprawiony polonofobią ukraiński nacjonalizm zaczyna zdobywać coraz silniejszą pozycję nie tylko w Cerkwi greckokatolickiej i Cerkwi Prawosławnej Kijowskiego Patriarchatu, ale także w Kościele rzymskokatolickim.

Dla Polaków, którzy chcą w nim pielęgnować swoją narodową tożsamość, język i wiarę, jest coraz mniej miejsca. Są spychani na margines, jako balast utrudniający szybką ukrainizację Kościoła i jego zakorzenienie w masach.

O nastrojach jakie panują wśród wiernych w tej materii najlepiej świadczy dyskusja jaka po odpuście w Sanktuarium Matki Bożej Latyczowskiej wybuchła na forum internetowym czasopisma „Credo”, należącym do diecezji kamieniecko-podolskiej.

Po zakończeniu religijnych uroczystości, ordynariusz kamieniecki bp Leon

Dubrawski, czyli gospodarz uroczystości, poprosił Konsula Generalnego RP z Winnicy Krzysztofa Świderka, by powiedział kilka słów do zebranych Polaków. Ten uczynił to zaczynając od słów: „Konsul powinien być tam, gdzie jest jego naród”.

Wystąpienie konsula do żywego zabolalo ukraińskich pielgrzymów, którzy przybyli do Latyczowa zapewne nie z pobudek religijnych, ale politycznych. Przy czym ich krytykę wywołała nie treść przemówienia konsula, ale sam fakt jego obecności.

Od lektury komentarzy zamieszczonych na przywołanym wcześniej portalu włos się dosłownie jeży na głowie. Oto niektóre z nich: „co taki szanowny pan konsul robi na odpuście ukraińskich rzycko-katolików???", „...Przykro było słuchać nacjonalistyczno-patriotycznej polskiej przemowy na święcie ukraińskich rzycko-katolików”, „Ukraina jest państwem monoetnicznym”, „Pięć dni iść, żeby wysłuchać przemowy w niezrozumiałym języku”, „...Dlaczego w Kościele rzycko-katolickim jeszcze istnieje polski patriotyzm? Czy my nie wykonujemy czyjegós zamówienia?”, „Większość wiernych Kościoła rzycko-katolickiego jest ukraińskimi patriotami, dlaczego Polacy nie mogą tego zrozumieć, że tu mieszkają Ukraińcy i nie chcą zostawić nas w spokoju”.

JĘZYK POLSKI W ODWROCIE

To tylko próbka komentarzy zamieszczonych na portalu. Zauważywszy, że dostęp do Internetu jest na terenie diecezji kamieniecko-podolskiej utrudniony ze

względu na jej cywilizacyjne zapóźnienie oraz fakt, że posługują się nim ludzie młodzi, zamieszkujący duże centra, trzeba przyjąć, że oddają one głosy młodej katolickiej ukraińskiej elity. Elity która z wolna nadaje ton Kościołowi rzymskokatolickiemu na Ukrainie.

Elita ta nie spała oczywiście z nieba. Jest produktem określonych czynników. Powstała przede wszystkim na skutek oddziaływania środowiska, szkoły, środków masowego przekazu. W wolnej Ukrainie patriotyczne wychowanie Ukraińców zaczęło odbywać się według dwóch pokrewnych schematów „banderowskiego” na zachodniej Ukrainie i „hajdamackiego” na środkowej i wschodniej. Oba były pokrewne i różniły się detalami. Opierały się na micie trzech wrogów: Lacha, Żyda i Kacapa. Żyd z oczywistych przyczyn został w nim wyciszony, ale Lach i Kacap pozostali. Wystarczy przejrzeć ukraińskie podręczniki historii by się o tym przekonać. Ukraińskie dzieci uczyły się z nich, że Polacy to najeźdźcy, którzy przez kilkadziesiąt lat okupowali ziemię ukraińską i ciemnieżyli ukraiński lud.

PAŃSTWO MONOETNICZNE

Władze ukraińskie nie ukrywały też, że dążą do budowy państwa monoetnicznego, w którym mniejszości powinny być jak najsilniej zintegrowane z ukraińską większością. Wywierały też nacisk na Kościół ukraiński, by jednoznacznie opowiedział się, czy chce być polski czy ukraiński, czyli czy chce być z narodem ukraińskim czy polskim. Wszystko to spowodowało, że wewnątrz Kościoła rzymskokatolickiego powstała określona atmosfera sprzyjająca jego odpolszczaniu i odcinaniu się od polskich korzeni.

Wielu księży pochodzących z polskich rodzin i wykształconych w seminariach na Ukrainie zaczęło uważać się za Ukra-

inów. W tym duchu zaczęli oddziaływać na wiernych, zwłaszcza tych młodych – że najlepiej dla nich będzie jeśli pozbędą się polskiego grobu. Tylko Polacy pochodzący z najtwardszych polskich rodzin nie ulegali tej pedagogice. Ich los jest jednak przesądzony. W całym Kościele rzymskokatolickim na Ukrainie katechizacja odbywa się praktycznie po ukraińsku. Tylko w niektórych parafiach ostały się jeszcze grupy, w których nauka religii jest prowadzona w języku polskim. To sprawi, że za kilkanaście lat Polaków na Ukrainie już nie będzie. Starzy wymrą, a młodzi ulegną całkowitej ukrainizacji.

Swoistym paradoksem jest to, że szansę na ocalenie swojej narodowej tożsamości mają tylko ci Polacy, którzy trzymają się od Kościoła rzymskokatolickiego jak najdalej. Paradoksem jest też fakt, że w ukrainizacji Polaków na Ukrainie duży udział mają też księża z Polski, którzy owdądnieli „misyjnym szalem” duszpaństwo wśród rodaków uparli się prowadzić tylko po ukraińsku. Niektórzy, przyjeżdżając na Ukrainę, wręcz popisują się znajomością ukraińskiego. Zdumienie przeżył m.in. kilka miesięcy temu bp. Leon Dubrawski, gdy ksiądz z Polski, chcący pracować w jego diecezji, zaczął do niego mówić po ukraińsku. Biskup kazał swojemu współpracownikowi delikatnie zwrócić mu uwagę, że choć urodził się na Ukrainie to umie po polsku i tym językiem w kontaktach z Polakami się posługuje.

Marek A. Koprowski

Zob. materiał zamieszczony w poprzednim numerze naszego pisma:

Ks. Witold Józef Kowalów, „Odpust w Latyczowie”, [w:] „Wołanie z Wołynia” nr 4 (95) z lipca-sierpnia 2010 r., s. 3.



Ź nas na Wołyniu

MATKA BOŻA W NIETYSZYNIE



Ks. Paweł Fedirczuk

Proboszcz parafii pw. Matki Bożej Częstochowskiej w Nietyszynie zajmuje się nie tylko formowaniem parafii w tym „atomowym mieście”, ale także pracami wykończeniowymi oraz wyposażaniem kościoła, wzniesionego przez poprzedników w stanie surowym. Jeszcze niedawno mieszkał w wynajętej kwaterze w bloku, ale obecnie przeprowadził się do pomieszczeń przy świątyni, które udało mu się zaadaptować do w miarę normalnego funkcjonowania. Wie, że jako kapłan musi być blisko ludzi, którzy nie powinni go szukać w anonimowym blokowisku, choć umówić się z nim na rozmowę nie jest łatwo. Pochłaniają go nie tylko sprawy duszpasterskie, ale również budowlane. Pracy przy nowej świątyni zostało jeszcze wiele, a tymczasowa kaplica, mieszcząca się w blaszanym baraku, ewidentnie hamuje rozwój parafii. Nie tylko jest za mała, ale latem zamienia się w saunę, a zimą w lo-

dówkę. Ks. Paweł stara się więc ponaglać budowlaną ekipę, by jak najszybciej wierni mogli się modlić w nowej świątyni. Na razie mogą to czynić przy okazji wielkich uroczystości – i tylko latem.

Ks. Paweł zastanawia się co jeszcze w świątyni trzeba zrobić. Czynie to zawsze wieczorem, gdy z brewiarzem w ręku podąża do niej, by w rozmowie z Chrystusem zaczerpnąć sił na kolejny dzień zmagania. Bywa, że w świątyni spędza wiele godzin. Szukania sił w modlitwie nauczył go jego „mistrz” – ksiądz Władysław Wagnas. Jest jednym z jego wychowanków. W swojej kapłańskiej posłudze stara się go naśladować. Ks. Paweł urodził się w 1975 r. w Gródku Podolskim, w bardzo religijnej rodzinie. Żyjąca jeszcze babcia Lida, z domu Ostrowska, ma 89 lat i jest kobietą żarliwej modlitwy. Jedna z jej siostr została zakonnicej. Lida urodziła i wychowała siedmioro dzieci. W młodości, za polskość i przywiązanie do Boga została jak wielu innych mieszkańców Gródka zesłana. Na szczęście nie do Kazachstanu, ale do leżącego na wschodzie Ukrainy Ługańska, wówczas zwanego Woroszyłowgradem. Tu wyszła za mąż za Ukrainca Kulibabę. Do Gródka wróciła z mężem po śmierci Stalina, gdzie po paru latach dochowała się siedmiorga dzieci. Jej radość była krótka. Mąż nie chciał mieszkać w Gródku i wrócił do Ługańska. Musiała sama wychowywać siedmioro dzieci, co w ówczesnej rzeczywistości nie było łatwe.

– Musiała się tułać – opowiada ks. Paweł. – Ciężka na niej opinia wroga ludu i nikt nie chciał jej pomóc ani zatrudnić. Dom, w którym mieszkała, został zrekwirowany przez władze, które przydzie-



Obecnie wierni modlą się w tymczasowej kaplicy

liły go deputowanemu i ani myślały go zwrócić. Mimo to babcia dała sobie radę wychowując dzieci na porządnym ludzi.

Matka ks. Pawła, Weronika, też od dziecka była osobą bardzo religijną. Wyszła za mąż za Stefana – chłopaka z Zbrucza, z Jagielnicy k. Czortkowa. Mimo ukraińskiego nazwiska Fedirczuk, on także pochodził z mieszanej rodziny. Znaczna część jego krewnych wyjechała do Polski i mieszka na Śląsku. Ksiądz Paweł ma więc sporo ciotek, wujków i kuzynów w Polsce. Matka księdza Pawła, jako jedyna z całego rodzeństwa, nie pozostała z mężem w Gródku i wyjechała za chlebem, najpierw do Nikopola, potem Berdyczowa, by ostatecznie osiąść w Chmielnickim. Urodziło się im czterech synów. Dwóch z nich zostało kapłanami. Oprócz Pawła, drugi ich syn Jarosław wstąpił do zakonu kapucynów i po święceniach pracuje w kijowskiej placówce tego zakonu.

– Wraz z rodzeństwem byłem wychowywany w tradycji katolickiej i polskiej – wspomina ks. Paweł. – Między sobą rozmawialiśmy najczęściej po polsku, w tzw. gwarze „gródeckiej”, lub po rosyjsku, co wynikało z faktu, że chodziłem do rosyjskiej szkoły. Ukraińskim także się posługiwaliśmy. Należę więc do wielu kultur, choć w starym paszporcie, podobnie jak mama, miałem wpisaną narodowość polską. W czasach radzieckich to było źle postrzegane przez władze. Nie wszyscy więc Polacy przyznawali się do swoich korzeni. Wymagało to pewnej odwagi. Ale w naszym domu polskość zawsze się pielęgnowało. Sam uważam się jednocześnie za Polaka, Ukraińca i Rosjanina. Myślę, że kapłan na Ukrainie musi wyznawać zasadę św. Pawła i dla Polaka być Polakiem, dla Ukraińca Ukraińcem, a dla Rosjanina Rosjaninem. Na moje wychowanie religijne wywarli wpływ zarówno



Parafialny odpust

rodzice, jak i ksiądz z parafii, z którym oni byli związani. Pamiętam zwłaszcza ks. Witolda Merkisa, litewskiego jezuitę posługującego w Hreczanach, będących dzielnicą Chmielnickiego i oczywiście ks. Władysława Wanagsa. Na wakacje zawsze bowiem jeździłem do babci i krewnych mamy do Gródka, w którym był on duchowym liderem i każdy Polak musiał się z nim spotkać. Jako młody chłopak byłem nim zafascynowany. Od razu też wstąpiłem do założonego przez niego w Gródku Małego Seminarium Księży Marianów, jako że był on marianinem. Gdy zostało przekształcone w Seminarium Diecezji Kamieniecko-Podolskiej, o co zabiegał ks. bp Jan Olszański, to wraz z kilkoma kolegami zachęconymi przez ks. Wanagsa już w nim pozostałem. Formalnie studia seminaryjne rozpocząłem w 1991 r. i należę do rocznika zwanego potocznie „wanagsowym”. Po ich ukończeniu, przez dwa lata byłem diakonem

aż do osiągnięcia wieku kanonicznego, niezbędnego do święceń, co nastąpiło w 1999 r. Jako diakon służyłem Panu Bogu m.in. w parafii w Koziatynie, Sławucie i Chmielnickim w parafii Na Wystawce. Po święceniach kapłańskich jako wikary pracowałem m.in. w parafiach w Braclawiu, Łuczyńcach, Barze, Kirowie, a pierwszą proboszczowską funkcję objąłem w Niemirowie, gdzie posługiwałem przez 7,5 roku, dokonując rewaloryzacji tamtejszego kościoła. Gdy świątynia była odnowiona, ordynariusz skierował mnie do Nietyszyna, bym kontynuował prace tworzenia w nim ośrodka parafialnego. Pałeczkę przejąłem od ks. Jana Szańcy, który czynił to niejako z doskoku, dojeżdżając ze Sławuty. By odciążyć ks. Szańcę, biskup przydzielił mu jeszcze dwie parafie dojazdowe w Paszukach i Annopolu, które wcześniej obsługiwał. Obecnie parafia księdza Pawła liczy około dwustu osób, z czego systematycznie praktykujących jest

około stu. Nie są to jednak wszyscy katolicy mieszkający w Nietyszynie.

– Wiem, że żyje tu wielu katolików ze Sławuty czy Szepietówki, pracują tu na różnych, nawet wysokich stanowiskach – mówi ks. Paweł. – Wciąż pokutują u nich stare nawyki z poprzedniej epoki. Wiedzą, że w Nietyszynie jest parafia, ale wołają na Msze św. jeździć do miejscowości, z których pochodzą, a tu nie chcą się pokazywać... Boją się pewnie, co inni powiedzą... W Nietyszynie mieszkają też rdzenni Polacy, pracujący dawniej w „Energopolu”, który budował Nietyszyn. Chodząc po ulicach często słyszę język polski. Rozglądam się wtedy i z bólem konstatuje, że ludzi tych nie znam i w kościele ich nie widziałem. Mam jednak nadzieję, że z czasem zacznie się to zmieniać... Gdy tylko przeprowadzimy się do świątyni, której budowa jest na ukończeniu, zyskamy nowe możliwości działania.

Duszpasterstwo w parafii ks. Paweł prowadzi w języku polskim i ukraińskim. Jedna Msza św. jest odprawiana po polsku, a druga po ukraińsku.

– Uważam że wierni, którzy uważają się za Polaków i często, zwłaszcza w przypadku osób starszych, płacili w przeszłości za to wysoką cenę – mają teraz prawo do Mszy św. w języku polskim – podkreśla. – Dlatego też staram się go przestrzegać. Jednocześnie jednak zdaję sobie sprawę, że do parafii przychodzą też ludzie czujący się Ukraińcami, którzy polskiego nie rozumieją i duszpasterstwo trzeba prowadzić z nimi w języku ukraińskim...

Pociechą ks. Pawła jest niewątpliwie fakt, że chociaż parafia nie jest duża, to rodzą się w niej dzieci. W ciągu swojej rocznej posługi ochrzcił ich pięcioro. Nie brakuje też chętnych na katechezę. W różnych grupach uczęszcza na nią około trzydziścioro dzieci. Są też chętni do wstąpienia w związki małżeńskie.

– Pracując jak mrówka, wolno, ale systematycznie, posuwamy się do przodu – śmieje się ks. Paweł. – Tutejsza parafia jako miejska będzie się rozwijać i ma przed sobą perspektywy.

Jak każdy kapłan, tak i ks. Paweł przeżywa trudności i ma chwilę wątpliwości czy załamań. Wtedy będąc w Kamieńcu w Kurii Biskupiej, zagląda też do Gródka, by spotkać się z babcią. Ta seniorka rodu, nadal imponuje wszystkim żywotnością i bezgranicznym zaufaniem Bogu. Dzień zaczyna od Mszy św., a później szybkim krokiem, tak iż niejeden młody ma kłopoty nadążyć, idzie odwiedzać swych bliskich. Z jej dzieci żyje jeszcze pięcioro. Jedną z jej córek, czyli siostrą mamy ks. Pawła, która została zakonnica – sercanką, zmarła, ale wszyscy pozostali założyli – podobnie jak ona – wielodzietne rodziny.

– Babcia doczekała się w sumie osiemnaścioro wnucząt, dwadzieścioro dwojga prawnucząt i jednej praprawnuczki – mówi ks. Paweł. – Bardzo się z tego cieszy i zanim wszystkich odwiedzi, wraca do domu wieczorem. Ja, gdy jadę do Gródka, to zawsze patrzę na zegarek i obliczam, u kogo o tej godzinie babcia może być.

Marek A. Koprowski
fot. Ludmiła Poliszczuk



Kościół w Nietyszynie

Poezja

Diana Joanna CICHOCKA
KRESOWY DOM

Nasz dom wybielony
pod tym skrawkiem nieba,
w myślach uwieczniony
kołł smakiem chleba.

Stał w mleczowym złocie,
w wołyńskim rozdole
przy bukowym płocie
wyglądał na pole.

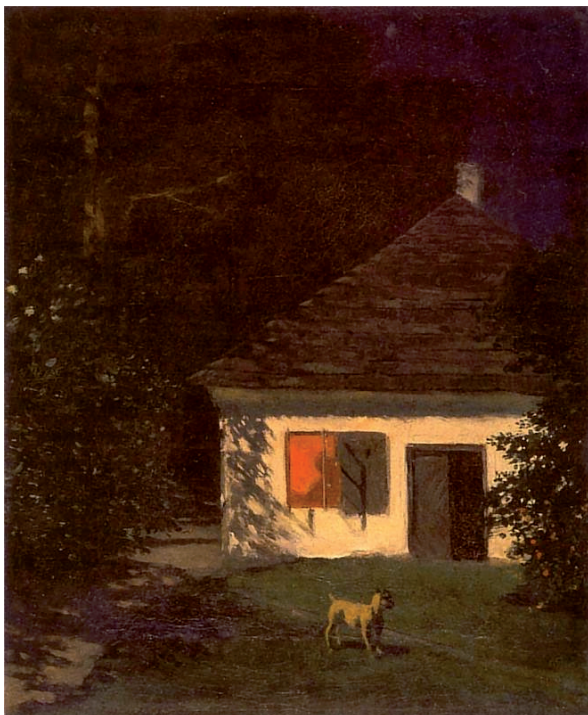
Otwierał szeroko
serca okiennice,
a skrywał głęboko
rodzinne tradycje.

Nasz domek kresowy
zalała lat rzeka,
lecz w duszy jak nowy
wciąż tam na nas czeka.

Chleb smalcem smaruje
i kisi ogórki,
tęsknie wyczekuje
i syna i córki.

Pójdźmy tam raz jeszcze
pod wołyńskie strony,
przed domem rodzinnym
złożmy swe ukłony.

Przykucnijmy w ciszy
na dzieciństwa progu,
za dom przywrócony
podziękujmy Bogu.



Poezja

LIRYKI Z SERCA

Zadziwiająca są liryki młodej poetki Diany Cichockiej od pierwszych strof. Czytelnika poruszają głębią i swoistym zamyśleniem. Bezpośredni i szczerzy język, którego używa poetka ze świadomością ponadczasową – doskonale obrazuje postaci, czas i krajobrazy. To prawie niepodobne do trendów współczesnej poezji, a jednak konkretne, kojące i bliskie. Odkrywa poetka starą prawdę, że język poezji musi być komunikatywny i doborowy. Ta strefa liryki pobudza ludzką pamięć i niesie nieskończenie dużo skojarzeń i wyobraźni, wobec prawdy życia.

W poezji Diany Cichockiej to co boli, zapisane jest tak, że naprawdę boli, a to, co porusza, uskrzydla czytającego i unosi ponad horyzont. Jest to niebywała cecha młodej poetki – kobiety, która w dosadny sposób rzeczy, uczucia, barwy i tęsknoty – nazywa mocno, po imieniu. Wrażliwi czytelnicy w tomie „Z szuflady serca”, znajdą jeszcze głębsze pokłady lirycznych zauroczeń i dobroci serdecznych.

Mowa – język, jest kluczem wiersza
„Mimo wszystko”

„Mów do mnie czule,
mimo wad, mimo ran
mimo wszystko”.

liryczne słowo miłości dostrzega drogę
ponadczasową – dotyka tajemnic nieba.
Wiersz „To nieprawda, że”

„Wczoraj usłyszałam,
że nie dojdziemy do nieba
to nieprawda”.

W rozmowie z kimś kochanym poetka tłumaczy tę myśl. A przecież każdy człowiek, stąpający mocno po ziemi, często patrzy w niebo. Czy myśli o nim świadomie, czy naprawdę wierzy w niebo? Jednak poetka wierzy i podtrzymuje tę wiarę.

Diana Joanna Cichocka



Z szuflady serca

Mostem i drogą, które prowadzą bezpiecznymi słowami liryków – jest przyjaźń i oparcie w rodzinie. Pojawiają się przyjaciele, znajomi, bliscy – rodzina, rozmowy z nimi to szczególnie umiejętność poetki. Najwyraźniej zapisana w lirycznych odśłonach śmierci jest postać ojca. Światło, droga, grób ojca – uczą pokory wobec Rodzicieli i potwierdzają, tak nagle przemijanie życia.

„Tak dużo wspomnień zawisło
nad światem”.

Szczyty lirycznych uniesień i zachwyków – poetka zapisuje w wierszach kresowych. Potwierdza to fakt, iż wielokrotnie otrzymywała tytuł laureatki w Ogólnopol-

Poezja

KRESOWY „KRZEMIEN”

W Chełmie powstała nowa grupa poetycka. Nosi nazwę „Krzemień”, a skupiona jest wokół Krzysztofa Kołtuna i (co wydaje się oczywiste) Towarzystwa Rodzin Kresowych.

– Grupa „Krzemień” – mówi Krzysztof Kołtun – nawiązuje do powstałej w Równem, przedwojennej grupy literackiej „Wołyń”, skupiającej wielu znaczących poetów. W tej grupie był między innymi Wacław Iwaniuk – znany poeta i literat związany z Ziemią Chełmską (urodził się w Chojnie k. Siedliszcza n. Wieprzem). Chcemy skupić rozproszone środowisko poetów kresowych, tych którzy wywodzą się z Kresów albo piszą o Kresach. Nasze miasto w ostatnich latach stało się inspiracją do tematyki kresowej dla wielu ludzi. Pokazuje to organizowany przez nas od 22 lat konkurs poetycki „U progu Kresów”. Tu zadebiutowała Władysława Misiura, tu pierwsze szlify zdobywali poeci z różnych stron kraju, którym udział w konkursie dał odwagę pokazania się na szerokim literackim forum, jak na przykład Diana Cichocka, która najlepiej się czuje w tematyce kresowej. Zresztą, każda kraina żyjąca w sposób zorganizowany ma u siebie swoich poetów. Górale na Podhalu, my – na Kresach czy obecnym pograniczu. Tu chodzi o uchwycenie klimatu i pokazanie go także przez sentyment.

SŁOWO WIELE ZNACZY

– Tematyka kresowa wpisuje się w znaczącą się coraz silniej potrzebę pytań skąd pochodzę i kim jestem. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że dla ludzi, którzy poprzez kaprys dziejów zostali wyrzuceni ze swoich domostw i rozproszeni po całym świecie i dla ich potomków poezja

kresowa jest odpowiedzią na pytanie skąd i kim jestem. Natomiast dla ludzi, którzy pozostali tam, za Bugiem każde słowo dochodzące z Polski ma swoją wielką wartość. To właśnie łączy całą Europę. Bo słowo naprawdę wiele znaczy – dodaje K. Kołtun.

ŻADNA GRUPA POETYCKA NIE POWINNA BYĆ FABRYKĄ POETÓW

„Krzemień” liczy sobie około 10 osób. – Tu nie chodzi o liczbę – wyjaśnia Krzysztof Kołtun – chodzi o to, żeby ludzie mieli się gdzie spotkać, wypowiedzieć swoje myśli, podzielić przemyśleniami i szukać inspiracji. Grupa ma swój znak graficzny opracowany przez Jacka Czarnotę. Zawarta jest w nim idea samego Krzemienia, jak i twórców uczących się w tym samym liceum co Słowacki.

W planie działań mają być promocje książek, wieczory autorskie, spotkania z ciekawymi twórcami. A wydawanie poezji? – Tak, ale nie w sposób sformalizowany. Żadna grupa literacka nie powinna być fabryką poetów. Każdy może próbować swoich sił, prawdziwa poezja obroni się sama – twierdzi K. Kołtun.

AlBo



Pamięć

WOŁYŃSKIE KRZYŻE
WOKÓŁ HUTY STEPAŃSKIEJ

Lipiec i sierpień stają się w kalendarzu rocznie polskiej martyrologii miesiącami coraz bardziej kojarzonymi z ludobójstwem dokonany przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej na Kresach. Powoli, mimo licznych oporów, powstają coraz to nowe upamiętnienia polskich miejsc tych tragicznych wydarzeń na Ukrainie. Przykład krzyży stawianych w okolicach Huty Stepańskiej przez Janusza Horoszkiewicza wskazuje na to, że możliwe jest kultywowanie pamięci Polaków – ofiar ukraińskiego nacjonalizmu nawet w regionach, gdzie silne są wpływy środowisk banderowskich.

Nad ranem 18 lipca 1943 r., po trzydniowym oblężeniu Huty Stepańskiej, kilka tysięcy Polaków w konwoju rozciągniętym na blisko trzy kilometry, osłanianym przez słabo uzbrojoną, lecz doskonale zorganizowaną samoobronę, przebiło się przez pierścień reżunów UPA i doszło do stacji kolejowych na linii Kowel-Sarny. Wyrwanie się z matni kosztowało życie ok. 600 zabitych. W 67. rocznicę tych wydarzeń w miejscu spalonych polskich wsi, zniszczonych cmentarzy i kościołów duchowni katoliccy z ks. bp. Marcejanem Trofimiakiem, metropolitą [raczej ordynariuszem – przyp. WzW] łuckim, i prawosławni, w obecności blisko 90 pielgrzymów z Polski i przy udziale miejscowej ludności ukraińskiej oraz władz samorządowych, poświęcili pięć krzyży upamiętniających polską społeczność zgładzoną lub wypędzoną z ziemi przodków.

– Wybudowaliśmy załazek naszej huciańskiej drogi krzyżowej, żebyśmy mieli do czego przyjeżdżać i gdzie się modlić

– mówi Janusz Horoszkiewicz, potomek zasłużonego wołyńskiego rodu, główny inicjator upamiętnień.

OBRONA HUTY

Organizowana od lutego 1943 r. samoobrona Huty Stepańskiej przed krwiożerczymi bandami UPA była stosunkowo silna. Koncentrowała się w dwóch największych polskich wsiach w tym rejonie – Hucie Stepańskiej i Wyrce, obejmując swoim zasięgiem kilkadziesiąt pomniejszych okolicznych osad i kolonii. Dysponowała 80 sztukami broni palnej, w tym 6 erkaemami, a także przeszkolonymi oddziałami ok. 500 mężczyzn uzbrojonych w taką „białą” broń, jak kosy, widły, siekiery czy szable. Ostatnim jej dowódcą prowadzącym bohaterką obronę i akcją wyrwania się ze śmiertelnego kotła był cichociemny por. Władysław Kochański „Bomba”, później awansowany na kapitana.

Atak wielokrotnie przeważających sił OUN-UPA rozpoczął się w nocy z 16 na 17 lipca 1943 roku. Poprzedzony został podpaleniem wszystkich mniejszych polskich wiosek położonych wokół Huty i Wyrki. Według relacji świadków, łuna z monstrualnego pożaru tysięcy zabudowań zajmowała połowę firmamentu, a towarzyszył jej zatrzaskający, huczący pomruk.

Noc tę dobrze pamięta 85-lletnia dziś Władysława Piotrowska, była mieszkanka Wyrki.

– Budzimy się na dźwięk dzwonów, a tu cała Wyrka w płomieniach, bo Ukraińcy strzelali zapalającymi pociskami. Ujadanie psów, ryczenie krów, kwik świń. I nie wiadomo, gdzie uciekać. Jednak go-

sposzarze byli na to przygotowani, szybko zaprzegli konie do wozów i nocą tabor po mału ruszył w kierunku Huty Stepańskiej, gdzie fortecą stała się murowana, piętrowa szkoła z karabinami maszynowymi na piętrze. Tylko broni nie było dużo – wspomina pani Władysława.

Z ustaleń Janusza Horoszkiewicza wynika, że bandy UPA pierwszy, jak się okazało, pozorowany atak na Hutę Stepańską przypuściły w nocy z 16 na 17 lipca od strony mostu na rzece Gołubicy. Chodziło o wyciągnięcie obrońców ze stanowisk w innych częściach wsi, gdzie miało nastąpić główne uderzenie. Jednak por. Kochański przejrzał podstęp i gdy chwilę później nastąpiło główne uderzenie od strony uzdrowiska w Słonych Błotach, polska samoobrona ku zaskoczeniu banderowców odparła ten atak, zadając przeciwnikowi ciężkie straty.

Cały następny dzień upłynął pod znakiem falowych ataków Ukraińców wdzierających się nieomal do samego centrum Huty Stepańskiej, odpieranych jednak przez polską obronę. Gdy zapadł zmrok, por. Kochański uznał, że głównie z powodu wyczerpania się amunicji dalsza obrona skazana jest na porażkę, i zdecydował o ewakuacji wielotysięcznej ludności w stronę linii kolejowej Sarny-Kowel, co wymagało przebicia się przez ukraińskie okrażeńie. W nocy uformowano kolumnę wozów z żywnością, częścią dobytku i tymi, którzy nie mogli iść o własnych siłach. Liczyła około trzech kilometrów.

Niestety, o świcie grupa ok. 100 osób uznała, że gdy się podzielą, mają większe szanse na ocalenie życia. Wyszli ze wsi, nie czekając na pozostałych. Zakończyło się to fatalnie, gdyż tabor ten został zaatakowany przez bardzo silny oddział UPA. W grupie tej była rodzina Piotrowskich.

– Słysząc było atakujących Ukraińców, którzy krzyczeli: „Hurra, riezat Lachów, Mazurów”. Wywiązała się walka, w której zginął mój ojciec, Bronisław Piotrowski.

Dostał postrzał kulą rozrywającą – opowiada Władysława Piotrowska, uratowana mieszkanka Wyrki. – Konwój został przecięty jak gdyby na połowę, kto żyw zaczął w popłochu uciekać – wspomina Roman Piotrowski. – Nasza furmanka, na której była mama i młodsza siostra, wyrwała się, i tak już pozostała, a każde z nas uciekało, tak jak stało. Nie było nawet czasu niczego pochwytać, gdyż kogo Ukraińcy dopadli, tego zarzynali.

Połowie zaatakowanego taboru udało się jednak wycofać i razem ze wszystkimi pod osłoną karabinów samoobrony w porannych mgłach przekroczyć linie ukraińskie i dojść do stacji kolejowej chronionej przez Niemców.

POLOWALI NA NAS JAK NA ZWIERZĘTA

Stojący nieco na uboczu wsi Omełanka rodzinny dom Horoszkiewiczów przetrwał o trzy dni dłużej niż inne zabudowania, które Ukraińcy spalili 16 lipca. Rodzina nocę spędzała w lesie, a do domu wracała w dzień.

– Zaatakowało nas 11 Ukraińców, gdy mama doła krowę. Dopadliby nas, gdyby już z daleka nie zaczęli strzelać zapalającymi pociskami. Dzięki temu zdążyliśmy wszyscy uciec do lasu – opowiada świadek tych wydarzeń, 9-letni wówczas Szczepan Horoszkiewicz. – Widzieliśmy, że gdy budynki już się paliły, powyrywali sztachety i chodzili dookoła domu, wybijając szyby i drąc się: „*Wýchodu polacka morda*”. W lesie siedzieliśmy wraz z innymi do czasu zorganizowania konwoju przez Niemców.

Stanisław Zabłocki miał 14 lat, gdy po zaatakowaniu przez Ukraińców Huty Stepańskiej jego rodzina wraz z rodzinami Piłskich, Janickich, Popławskich i Zabłockich uciekła nie do centrum wsi, lecz do lasu nad Horyniem. Stopniowo dołączali do nich kolejni uciekinierzy, tak że w końcu ukrywająca się grupa liczyła ok.

100 osób.

– Przez dwa miesiące banderowcy polowali na nas jak na zwierzęta – mówi mężczyzna. – Gdy kiedyś schwycili kobietę w ciąży, powiesili ją za ręce na drzewie, rozcięli brzuch i tak zostawili.

Ukraińcy kilka razy strzelali do pana Stanisława, ale szczęśliwie nie trafili. – O mały włos nie zabił mnie banderowiec, który po dogonieniu uderzył mnie siekierą w głowę – mówi pan Zabłocki, pokazując wyraźne wklęśnięcie na czole ponad brwiami po prawej stronie. – Zalałem się krwią, straciłem przytomność, ale – jak widać – przeżyłem – wyznaje.

Z jego najbliższej rodziny – a było ich w domu czworo dzieci i rodzice – wszyscy się uratowali.

Zginęła tylko ciocia. – Raz napadli nas w lesie – opowiada – zaczęli strzelać, wszyscy się rozpierzchli, a ona przycupnęła pod krzaczkiem, myśląc, że jej nie zauważą. Ukraińiec zaszedł ją od tyłu i strzelił w plecy. Pociśk był rozrywający i ciocia nie miała żadnych szans na przeżycie.

Na noclegi ukrywający się w lesie wybierali wyższy teren, tam gdzie nie było bagna i wody. Nie zawsze się to udawało.

– Raz położyłem się w bardzo puszystym mchu. Zaraz usnąłem, a obudziłem się na pół w wodzie, która podeszła do góry pod moim ciężarem – wspomina Zabłocki. – Po takiej nocy na bagnach po obudzeniu się ludzie jak oczadziali rozchodzili się po lesie i potem po oprzytomnieniu czasem pół dnia się nawoływali i szukali.

Po dwóch miesiącach ukrywania się spotkali oddział partyzancki złożony z Rosjan, Ukraińców, Polaków i Żydów. Chcieli się przyłączyć, ale odpędzano ich strzałami w powietrze. W końcu jednak partyzanci pozwolili im iść za sobą i tak doprowadzili do Rafałówki, gdzie pracując u Niemców Polacy byli chronieni od ataków banderowców. Potem wyjechali

do Kowla. Tam w czasie tzw. wyzwolenia matkę pana Stanisława zastrzelił jakiś czerwonoarmista.

EXODUS

Rodzinę Horoszkiewiczów, tak jak wiele innych polskich rodzin, z lasu wyprowadzili Niemcy w zamian za krowy i świny rekwirowane dla wojska.

– Nie było innego wyjścia – mówi Szczepan Horoszkiewicz. – Huta już nie istniała, została cała spalona. Tak samo Wyrka.

Jak pamięta pan Szczepan, Polaków konwojowały trzy niemieckie samochody ciężarowe z wojskiem i trzy motocykle „pięćsetki” z pełnym uzbrojeniem.

– Jak dziś pamiętam tych pozabijanych ludzi w Wyrce – opowiada z przejęciem pan Szczepan. – Najpierw natknęliśmy się na rozkrzyżowanego mężczyznę leżącego pośrodku drogi. Mój ojciec z jeszcze jednym mężczyzną ściągnęli go na pobocze, bo nie było czasu na pochowanie ciała. Nieco dalej, na łące po lewej stronie, Ukraińcy posadzili zabitego mężczyznę na zdechłej krowie. Żeby się nie przewrócił, podparty był patykami. Po lewej stronie podobny widok – zabity mężczyzna podparty kijami siedział na świni. Po dwudziestu metrach kolejna straszna scena. Przy drodze zobaczyliśmy nabrzmiałe, brązowe ciała kobiety (to był gorący lipiec), na której leżało dziecko. Ono z kolei było bardzo jasne, blade, zupełnie jakby spało. Kolumna szła, wszyscy byli w strachu, nikt do nich nie podszedł.

Szczepan Horoszkiewicz nie może też zapomnieć widoku spalonego do połowy budynku ze zwisającymi z okna zwłokami częściowo zwęglonego mężczyzny. Gdy wychodzili z Wyrki, przy mostku na rzeczce leżały kolejne ciała zabitych ludzi. Pan Horoszkiewicz nie wie, co się stało z ciałami, które widzieli po drodze.

Niemcy zaprowadzili grupę Polaków do wsi Rafałówka, skąd w większości zo-

stali wywiezieni na roboty do Niemiec.

– Gdy miałem 10 lat, już pracowałem w niemieckiej fabryce włókienniczej. Byliśmy tam z całą rodziną dwa lata. Gdy Amerykanie nas wyzwალali, spytali, po której stronie chcemy zostać, bo wkraczali Ruscy. Matka nie chciała iść na stronę amerykańską, bo czekała na ojca i mojego starszego brata, których Niemcy na tydzień przed kapitulacją wzięli do kopania okopów.

TU ZOSTAŁO MOJE SERCE

V Pielgrzymka do Huty Stepańskiej i Wyrki przywiodła na wołyńskie bezdroża w okolicy Sarn blisko 90 pielgrzymów niemal z całej Polski. Przybyły wiekowe osoby pamiętające ludobójcze rzezie ludności polskiej, dzieci i wnuki obrońców Huty Stepańskiej. Przy 30-stopniowym upale w trudzie i znoju pokonywali pieszo i na furmankach nieraz spore odległości dzielące kolejne krzyże upamiętniające męczeństwo polskich Kresowian.

Wielu z nich było tu już wcześniej, indywidualnie lub w ramach poprzednich pielgrzymek, lecz część osób przybyła po raz pierwszy i przyznawała, że tu, na Wołyniu, zostawiła swoje serce.

Robert Gmoch należy do drugiego pokolenia Wołyniaków urodzonych już po wypędzeniu z rodzinnych stron. Jest prawnikiem pierwszego komendanta samoobrony Huty Stepańskiej Hieronima Konwerskiego.

O wołyńskiej ziemi najwięcej dowiedział się od swoich nieżyjących już przodków: prababci Stanisławy Konwerskiej z domu Naumowicz i babci Leokadii Żmurek z domu Konwerskiej. Interesuje się historią, szczególnie problematyką wołyńską.

– Od małego dziecka babcia i prababcia opowiadały mi o życiu na Wołyniu – mówi pan Robert. – W ich opowieściach było to z jednej strony życie barwne i wesołe, a z drugiej – naznaczone ciężką

pracą, codziennymi zmartwieniami i utrapieniami.

Ukraińskie ludobójstwo polskiej ludności na Wołyniu odcisnęło traumatyczne piętno także na jego rodzinie.

– Moja prababcia podczas ucieczki z domu została ciężko ranna, a na jej oczach zamordowano jej dwie córki – Janinę i Wandę. Trzecia, czyli moja babcia Leokadia, przeżyła cudem, schowana w zbożu.

To pierwsza podróż Roberta Gmocha na Wołyń. Odbywa ją wraz z mamą, którą musiał długo namawiać na wyjazd.

– Na miejscu, choć ścisnęło mi serce na myśl o tragicznych losach mojej rodziny, poczułem się paradoksalnie szczęśliwy, że dotykam fizycznie tej ziemi – mówi wyraźnie wzruszony. – Może zabrzmiało trochę patetycznie, ale zostawiłem tam swoje serce, po prostu pokochałem tę ziemię. Zamierzam nadal badać jej historię i regularnie ją odwiedzać.

KRZYŻE JANUSZA HOROSZKIEWICZA

– Od dziecka słyszałem w domu od taty nazwy: Huta, Omelanka, Wyrka – tłumaczy swoje zainteresowanie rodzinnymi stronami Janusz Horoszkiewicz. – Duszą byłem tu od dziecka, ale pierwszy raz przyjechałem dopiero w 2007 roku. Miałem być chwilę, ale przy wjeździe do Huty, na którymś z wertepów pękła mi w samochodzie miska olejowa. Teraz wiem, że to był znak, bym tu został...

W wielu miejscowościach wokół Huty Stepańskiej, a także w samej wsi, teraz czysto ukraińskiej o nowej nazwie Huta, z inicjatywy Janusza Horoszkiewicza stoi już 14 krzyży przypominających o polskich mieszkańcach tej ziemi i ich martyrologii. Za tę działalność pan Janusz został odznaczony przez śp. ministra Andrzeja Przewoźnika, sekretarza generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, złotym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej.

Pierwszym upamiętnieniem Janusza Horoszkiewicza był krzyż postawiony w 2008 r. na starym cmentarzu w Hucie Stepańskiej, poświęcony zmarłym i poległym z jego własnej rodziny.

– Naszą pierwszą ofiarą był wujek Stanisław Horoszkiewicz. W 1942 r. odniósł ranę przy wysadzaniu pociągu. Leczony w szpitalu został zatrzymany przez ukraińskich policjantów i w okrutny sposób zamordowany.

Za swój największy sukces pan Janusz uważa postawienie krzyża na nowym cmentarzu w Hucie.

– Banderowcy do samego końca zaprzeczali istnieniu ofiar w Hucie, tymczasem w ziemi tej spoczywa 250 jej mieszkańców zabitych w 1943 r. – podkreśla.

Duże problemy, głównie z odprawą celną, miał Horoszkiewicz przy sprowadzaniu obelisku postawionego na miejscu kościoła parafialnego pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Hucie Stepańskiej. Następny był historyczny krzyż z napisem „Jezu, ratuj” postawiony na drodze z Huty do Borku.

– To jeden z trzech krzyży, które były umieszczone wokół Huty Stepańskiej jako dziękczynienie po tym, jak w czerwcu 1943 roku. Niemcy chcieli spacyfikować wieś i cudem udało się ją uratować – wyjaśnia.

Następnie wraz ze swoim ojcem Szczepanem Horoszkiewiczem naprawił krzyż w rodzinnej Omelance, postawił krzyże w byłej wsi Romaszkowo, a także w Borku.

17 i 18 lipca br. z inicjatywy Janusza Horoszkiewicza odbyło się poświęcenie kolejnych pięciu krzyży upamiętniających wsie Siedliska i Wyrka, cmentarz w Wyrce, miejsce po zburzonym w lipcu 1943 r. kościele parafialnym pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Wyrce, a także masakrę kolumny uciekinierów z Huty Stepańskiej dokonaną przez UPA na mostku na rzeczce za Wyrką.

– To jest szukanie korzeni, miejsca, skąd wyszliśmy – opowiada Janusz Horoszkiewicz pytany o motywy swojego zaangażowania w upamiętnienie tego miejsca. – Nasza tradycja huciańska sięga okresu bitwy pod Grunwaldem, ponieważ król Władysław Jagiełło osiedlił tu – w nagrodę za udział w bitwie – szlachtę wołoską. Inne wsie, jak np. Rudnia, która kiedyś była szlachecka, z wpływem czasu przeszły na prawosławie, widząc w tym interes i sposób na spokojne życie. Natomiast my zawsze trwaliliśmy przy katolicyzmie, polskich królach, nie przeszliśmy na prawosławie ani nie ulegliśmy też reformacji, która miała tu znaczne wpływy. Czasem było bardzo trudno przetrwać, jednak zachowaliśmy polski język, wiarę, polską tożsamość narodową i teraz jako jedność wracamy. Wybudowaliśmy załazek naszej huciańskiej drogi krzyżowej, żebyśmy mieli do czego przyjeżdżać, gdzie się modlić – dodaje.

– Gdy w Borku stawialiśmy z synem krzyż – poprzedni był już bardzo stary – przyszła Ukrainka, uklękła i pocałowała go, a ja na ten widok się popłakałem – mówi Szczepan Horoszkiewicz, ojciec pana Janusza. – Krzyże stawiamy – kontynuuje – bo starsi ludzie odchodzą, a młodzi zupełnie nie wiedzą o naszej historii. My chcemy, żeby po Polakach, którzy tu żyli i zginęli, pozostał jakiś ślad. Przykro to mówić, ale to wszystko, co po Polakach tu pozostanie. Na szczęście Ukraińcy naszych krzyży nie niszczą...

Adam Kruczek

[„Nasz Dziennik” nr 171 (3797) z 24-25 lipca 2010 r.]



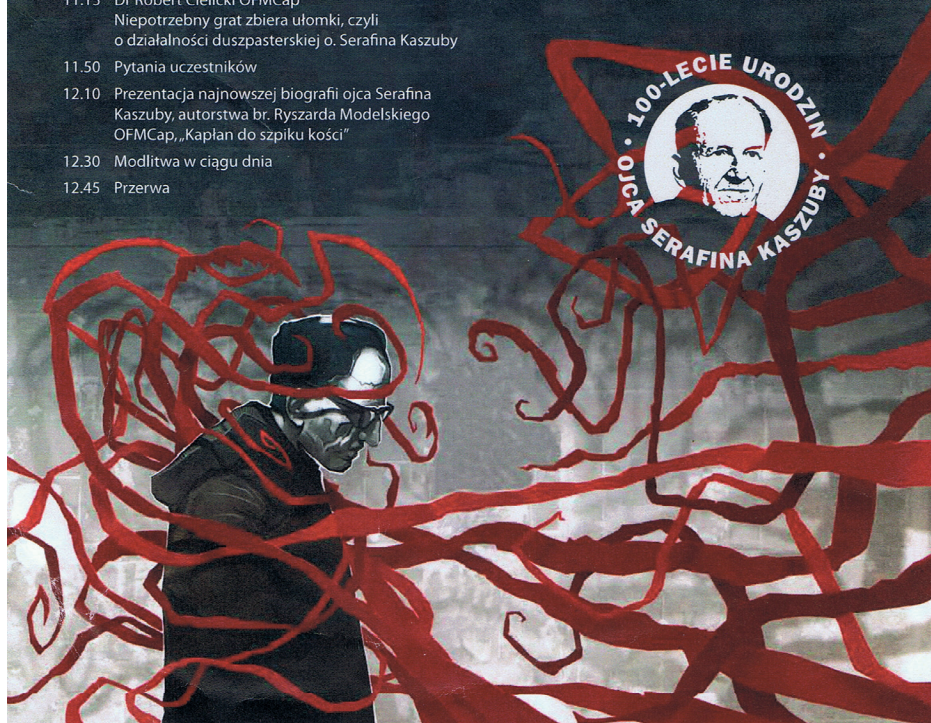
KAPŁAN DO SZPIKU KOŚCI

SYMPOZJUM O SŁUDZE BOŻYM SERAFINIE KASZUBIE

**KRAKÓW, KLASZTOR KAPUCYNÓW, UL. LORETAŃSKA 11
PONIEDZIAŁEK, 27 WRZEŚNIA 2010**

PROGRAM

- | | | | |
|-------|---|--------------|--|
| 9.00 | Otwarcie sympozjum, minister prowincjalny br. Jacek Waligóra OFMCap | 14.30 | Wznowienie obrad |
| 9.15 | Dr Stanisław Dziedzic
Milczący Kościoł na nieludzkiej ziemi. O sytuacji geopolitycznej w Związku Sowieckim | 14.40 | Biograficzny film o ojcu Serafinie Kaszubie, reż. Dariusz Walusiak |
| 9.50 | Prof. dr hab. Roland Prejs OFMCap
Kapucyni Prowincji Krakowskiej po II wojnie światowej. Struktury organizacyjne i formy obecności | 15.20 | Mgr lic. Ryszard Modelski OFMCap
Obecny stan procesu beatyfikacyjnego. Świętość ojca Serafina |
| 10.25 | Relacja świadka | 16.00 | Relacja świadka |
| 10.45 | Przerwa | 16.15 | Pytania uczestników |
| 11.15 | Dr Robert Cielicki OFMCap
Niepotrzebny grat zbiera ułamki, czyli o działalności duszpasterskiej o. Serafina Kaszuby | 16.45 | Zakończenie sympozjum |
| 11.50 | Pytania uczestników | 17.30 | Uroczysta Msza Święta w intencji beatyfikacji Sługi Bożego Serafina Kaszuby |
| 12.10 | Prezentacja najnowszej biografii ojca Serafina Kaszuby, autorstwa br. Ryszarda Modelskiego OFMCap, „Kapłan do szpiku kości” | | |
| 12.30 | Modlitwa w ciągu dnia | | |
| 12.45 | Przerwa | | |



Wśród książek

KAPŁAN DO SZPIKU KOŚCI

W związku z obchodami setnej rocznicy urodzin kapucyna, Sługi Bożego Serafina Kaszuby, która obchodzona jest w 2010 r., ukazała się książka „Kapłan do szpiku kości” autorstwa br. Ryszarda Modelskiego OFMCap o życiu i posłudze kapłańskiej br. Serafina.

Nakładem krakowskiego Wydawnictwa Serafin ukazała się właśnie nowa biografia Ojca Serafina Kaszuby. To poruszająca historia życia kapłana, niezwykle misjonarza Wschodu, nazywanego wędrownym apostołem, który swoją posługę niósł wiernym od Krymu aż po Dźwińsk.

„Nie zmarnuj się” – powiedział mu kolega z klasy, kiedy Alojzy (później w zakonie – Serafin) szedł do seminarium. „Idź, jeśli Bóg cię wzywa, ale bądź dobrym zakonnikiem” – powiedzieli rodzice, udzielając mu błogosławieństwa.

Na obrazku prymitywnym umieścił słowa: „Mnie żyć jest Chrystus” (Flp 1,21). I tak chciał żyć. Chętnie podejmował posługę kapłańską: spowiadał, odwiedzał chorych, głosił kazania, prowadził kierownictwo duchowe. „Ja po prostu nie mogę żyć bez pracy, i to bardzo intensywniej; takiej, która by mnie całego pochłonięła” – pisał do swojej siostry Marii.

Studiował polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim i miał zadatki na dobrego pracownika naukowego. Ale... Pan Bóg chciał go mieć w innym miejscu.

Wybuchła wojna. I oto Lwów ujrzał się czerwonym... Najpierw okupacja niemiecka, potem UPA, na koniec okupacja radziecka. Rozpoczęły się aresztowania – oficerów i policjantów, znaczniejszych osobistości, inteligencji, urzędników państwowych, przedsiębiorców i większych właścicieli ziemskich, w końcu kapłanów i zakonników. Wielu kapucynów pracują-



cych na tamtejszych ziemiach zesłano w odległe tereny Związku Radzieckiego lub zabito. Wiele parafii zostało bez duszpasterzy.

Mieszkanie i prowadzenie działalności duszpasterskiej na tamtych terenach w owym czasie wiązało się z ryzykiem utraty wolności, a nawet życia. Mógł przyjechać do Polski, ale został. Chciał służyć ludziom, bo potrzebowali kapłana. Już przy pierwszym transporcie „repatriacyjnym” powiedział: Choćby tu dwóch Polaków zostało, to ja będę z nimi trzeci. Z kim zostaną ci, co zostają? Żał mi tych ludzi, którzy mogą stracić resztkę wiary.

Jak krętymi drogami Pan Bóg go prowadził... Najpierw okupacja niemiecka, potem UPA, prześladowania, nędza, czerwone noce na Wołyniu, na koniec

okupacja radziecka i wiele lat życia poza ojczyzną. Wielokrotnie w sposób cudowny uniknął schwywania i śmierci. Bóg zachował go przy życiu dla dobra swoich wiernych, którzy w tym okrutnym czasie potrzebowali Bożego Posłańca.

Chory, biedny i wychudzony, z Najświętszym Sakramentem w kieszeni, szedł tam, gdzie go potrzebowali ludzie. Gdy zachodziła jakaś potrzeba duchowa, on się słaniał, ale szedł. Jedyne kapłan na całym Wołyniu. Podtrzymywał polskość wśród ludności, która tam pozostała. To nie mogło się podobać władzom. Szukali sposobów, aby się go pozbyć: od szkalujących artykułów w prasie, przez zakaz wykonywania jakichkolwiek czynności duszpasterskich i zamykanie kościołów, po aresztowania, prześladowania, zsyłki. Zawsze wracał do ludzi, których powierzyła mu Boża Opaczność.

Sprawiedliwe jest – pisał później w swoim pamiętniku – żeby wierni mieli kościół i kapłana. Będziemy się domagać i czekać lepszych czasów, choćby przyszło w tym czekaniu znieść wiele trudów.

Pisał prośby do odpowiednich władz rządowych o przywrócenie mu prawa do swobodnej działalności duszpasterskiej i o otwarcie kościołów. Napisał nawet do Chruszczowa.

Pozbawiony prawa do stałego miejsca zamieszkania i wykonywania posługi kapłańskiej rozpoczął apostołat wędrowny – Krym, Wołyń, Podole, Syberia, Kazachstan, Ural, Taszkient, od 1958 roku tułacz bez własnego domu. Odprawiał Eucharystię, spowiadał, chrzczył, błogosławił małżeństwa, bierzmował, udzielał sakramentu chorych, odprowadzał zmarłych na cmentarze lub święcił ich mogiły. Nauczał, pocieszał, podnosił na duchu i umacniał w wierze. Tak było w każdym miejscu jego pobytu.

W 1966 roku aresztowano go i zesłano do Arykty, a później do Arsazyńska.

Na chwilę odzyskał wolność, a potem znów go skazano na 11 lat odosobnienia w domu dla inwalidów i nieuleczalnie chorych w Małej Timofiejewce. Stamtąd zbiegł po kilku miesiącach. W 1968 roku powrócił do Polski, schorowany, leczyl gruźlicę płuc. Dwa lata później, z podreperowanym zdrowiem, powrócił na Wschód, aby nie zostawiać ludzi bez opieki kapłana. Posługiwał jeszcze przez 7 lat, zmagając się z nawrotami choroby.

Pochowany został na cmentarzu Janowskim we Lwowie. Napis na jego płycie nagrobnej brzmi: „*Stalem się wszystkim dla wszystkich*” (1 Kor 9, 22). Do dziś ci, którzy go pamiętają, wspominają jego ofiarę ze wzruszeniem i wdzięcznością. Dla wielu ludzi bowiem spotkanie z ojcem Serafinem było ich pierwszym, a czasem ostatnim spotkaniem z kapłanem w życiu.

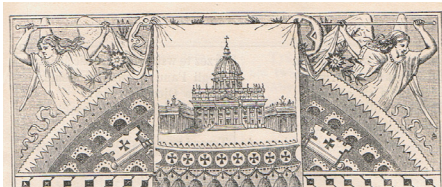
Małgorzata Sękalska

Patronat medialny nad publikacją objął Tygodnik Katolicki Niedziela, portal kapucyni.pl oraz glosojcapio.pl.

Książkę można zakupić w:

Wydawnictwo Serafin,
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków,
tel. + 48 12 623 80 58

księgarnia internetowa www.e-serafin.pl.



Z życia Kościoła

ZJAZD PRZEŁOŻONYCH
KAPUCYNÓW NA UKRAINIE

W klasztorze Braci Mniejszych Kapucynów w Kijowie w dniach 2-3 września 2010 r. odbył się zjazd przełożonych Wiceprowincji Ukrainy i Rosji. Głównym tematem spotkania była obecność Słowa Bożego w naszych wspólnotach. Na podstawie niedawnego zebrania Synodu Biskupów br. Konstanty Morozow OFMCap wygłosił konferencję pt: „Słowo Boże w życiu i misji Kościoła”. Konferencja była podstawą do refleksji o praktyce liturgii słowa we wspólnotach wiceprowincji. Poruszono też problematykę działalności duszpastersko-ewangelizacyjnej. Liturgia Mszalna zebrała Braci przy Stole Słowa i Eucharystii, znakach objednujących wspólnotę. W drugim dniu zjazdu świętowano imieniny braci Grzegorza Romanowicza oraz Grzegorza Ligęzy.

br. Sławomir Płoński OFMCap
Sekretarz Wiceprowincji Ukrainy i Rosji



Fotografie pochodzą ze strony:
http://www.kapucyni.org.ua/10_62.htm

Ź nas na Wołyniu

ZAPOMNIANA KAPLICZKA
– ZABYTEK RÓWIEŃSZCZYZNY

Czy myśleliście kiedykolwiek o religijnym dziedzictwie swego narodu? Oczywiście że wszyscy pamiętają o wielkich świątyniach, natomiast o małych kapliczkach nie, chociaż one również mają swą historię. Właśnie o jednej z takich kapliczek i będzie mowa.

Pomiędzy rejonem dubieńskim i rówieńskim stoi stara, prawie w połowie zrójnowana kapliczka, o której mało kto wie i pamięta. Wzniesiona została na cześć św. Jana. Niestety w dokumentach historycznych nie zachowało się żadne wspomnienie o tej budowli. Wiadomo tylko, że w 1860 roku wsią Satyjów władał hrabia Miączyński, i właśnie w tych latach była pobudowana kaplica św. Jana. Również niewiadomo o którym właśnie św. idzie mowa. Możemy tylko przypuszczać, iż chodzi o Jana Nepomucena. W XVIII st. jego kult był bardzo rozpowszechniony na zachodnich ziemiach Ukrainy. Figurki i obrazy świętego były w wielu świątyniach, między innymi w Buczaczu, Olesku i Horodence. Pojawienie tego świętego na naszych ziemiach można wiązać z pracą na Ukrainie czeskich rzeźbiarzy, u których św. Jan Nepomucen był bardzo rozpowszechniony, ponieważ tam się urodził i mieszkał.

Dokładniej o tej malutkiej świątyni możemy dowiedzieć się od miejscowych mieszkańców. Opowiadają, że w tej wsi było 3 kaplicy: dwie kolumny z Matką boską i kaplicą św. Jana. Rzeźba ostatniego była wykonana z drewna i była pięknie ozdobiona. Ale za czasów okupacji niemieckiej niedaleko wsi Satyjów znaj-



dował się obóz dla jeńców wojennych. Niektórzy wojskowi znęcali się nad rzeźbą świętego i nawet rzucali ją do ognia. W skutek czego, drewniana postać jest straszliwie obpalona.

Później figurka znikła na jakiś czas, i nikt nie wiedział, gdzie jej szukać. Możliwe, że ktoś z mieszkańców schował ją, ale najprawdopodobniej, iż Pan Bóg chował świętego.

Oczywiście powstało wiele legend. Ludzie opowiadają, że pewnego razu jeden pan zabrał św. Jana do swego folwarku i tam go postawił. Jakież było jego zdziwienie, gdy rano figurki tam nie było. Po niedługich poszukiwaniach odnalazł ją na swym zwykłym miejscu w kapliczce.



W latach 1950-1990 dwie kolumny Matki Boskiej były zniszczone przez Sowietów. Ich zniszczenie odbyło się w sposób banalny – obwiązane zostały linami i ściągnięte traktorami. Podobnie uczyniono z kapliczką Jana, ale zrujnować jej w całości nie udało się.

W dniu dzisiejszym kaplica znajduje się w bardzo kiepskim stanie. Chociaż mieszkańcy szanobliwie traktowali postać świętego, i nawet w czasach prześladowania wiary ozdabiali kapliczkę wstążkami, ale czas zrobił swoje. Sama budowla jest uszkodzona, a figurka zmasakrowana, chociaż do dziś jest wystrojona. Mieszkańcy wsi próbują odbudować swą relikwię, ale to potrzebuje dość dużych kosztów, których oni, niestety, nie posiadają. Jednak jedna niewielka sprawa jest zrobiona: nad kaplicą znów widnieje krzyż, który za czasów radzieckich był zdjęty i schowany.

Kapliczka św. Jana nie była zniszczona ani w czasie wojny, ani w czasach radzieckich. To dlaczego możemy pozwolić

by się zniszczyła dzisiaj, w czasach pokoju i rozwoju?

Anastazja Onoprijczuk
Fot. Jarosław Kowalczyk

Z ukraińskiego przełożyła
Nina Kamniewa



Ze starej kroniki wołyńskiej

KRONIKA PARAFII OSTROGSKIEJ

[ANNUS DOMINI 1624-1626]

EXPENSA
(ciąg dalszy)

Do płacenia kielicha zł 10 gr 15.
Grzebiennice do płacenia domu zł 10.
Od naprawy lamp mosiądzowi zł 10.
Za funt kadzidła zł 1 gr 18.
Czapnicze na pas zł 20 który po śmierci został w kościele.

Za kitaiką pod dwa ornaty zł 23 gr 24.
Stolarzowi od baldachinu zł 2 gr 18.

Za dwa klucze do klotki od zakrystiei gr 24.

Za skoblie do chorągiewek nowych gr 18.

Od naprawy pulpitu zł 1 [1] gr 15 [2].

Od naprawy krzesła gr 4.

Od naprawy zameczka w zakrystiei w szufi gr 10.

4 ta[m] Nowembris. P Stanisławowi na Materią do kaplicę zł 200, które potem są odiskane y expensa iest tich pieniędzy położona.

Na wikupienie więźnia Mathiasza żelznika zło. 20.

Zaczem był eliberowani z więzienia.

Pracze kościelni zł 11 y gr 15.

Funt kadzidła zł 1 gr 15.

Za dziesięć stusuw kamienia zł 25.

W roku 1626

Die 18 Julii za trzista kop gontuw 46 każda kopa po gr 7. zł 80 y gr 22.

Do ... [3] na gonti zł 20.

Za 763 kop gozdzii gontowich uczini 63 y gr 17 /4.

Ciesli od tei roboti zł 60. legumina dał X. Pleban ... [4] y drzewa.

Łatnich gozdzii kop 10. Każda kopa po gr 25. zł 8 y gr 20 uczini.

Do szcitu (?) bratnalie zł 8 gr 20.

Od naprawy dachu kościelne[g]o zło 2 gr 15.

Za gontowe gozdzie zł 1 gr 7 /4.

Lat 581 /24/ || [5]

Odczytał
Taras Wychowaneć

[“Kronika Kościoła Farnego
Ostrońskiego”

– Wojewódzkie Archiwum Państwowe
w Krakowie, Sekcja I,
Archiwum Sanguszków,
sygn. 1031, s. 230.]

Przypisy:

[1] Przekreślono w rękopisie.

[2] Niezrozumiałe czy ma być cyfra „5” czy „8”.

[3] Niezrozumiałe słowo.

[4] Niezrozumiałe słowo.

[5] W tym miejscu kończy się s. 230 Kroniki.



Biskupi łuccy

ANRZEJ LIPSKI

1617-1623

Andrzej Lipski urodził się w roku 1572 lub 1575 w Rzeplinie w województwie bełskim na Rusi Czerwonej (w ówczesnej diecezji chełmskiej) jako syn Jana i Reginy z Rzeplińskich. Jego ród (herbu Grabie) wywodził się ze wsi Lipe w powiecie kaliskim w Wielkopolsce. Na ziemię ruską przenieśli się stamtąd dopiero w latach 70. XVI w. ojciec i stryj późniejszego biskupa, którzy wżenili się w osiadłą tu wcześniej szlachtę i weszli w posiadanie znaczniejszych majątków. Oboje rodziców Andrzeja było wyznania ewangelickiego, w związku z czym on sam również został wychowany po protestancku. Po początkowych naukach w kraju przyszły pasterz diecezji łuckiej udał się zagranicę na studia prawnicze, które odbywał wpraw w Strasburgu, a następnie w Heidelbergu.

Po powrocie z Rzeszy do Rzeczypospolitej Andrzej Lipski, dzięki protekcji referendarza koronnego Piotra Tylickiego (nowomianowanego biskupa chełmińskiego), dostał się do pracy w kancelarii monarszej w charakterze sekretarza królewskiego. W tym też zapewne czasie dokonał konwersji z protestantyzmu na katolicyzm, podejmując zarazem decyzję o obiorze stanu duchownego. Już też w r. 1599 przyjął cztery niższe święcenia i jako kleryk mógł ubiegać się o beneficja kościelne. Dzięki przychylności króla Zygmunta III Wazy dane mu było uzyskać kolejno scholasterię płońską, kanonikat gremialny w krakowskiej kapitule katedralnej (1603) i kustodię gnieźnieńską (1605), a w następnych latach także scho-



Księga wpisów Metryki Koronnej za podkanclerstwa Andrzeja Lipskiego z lat 1618-1619

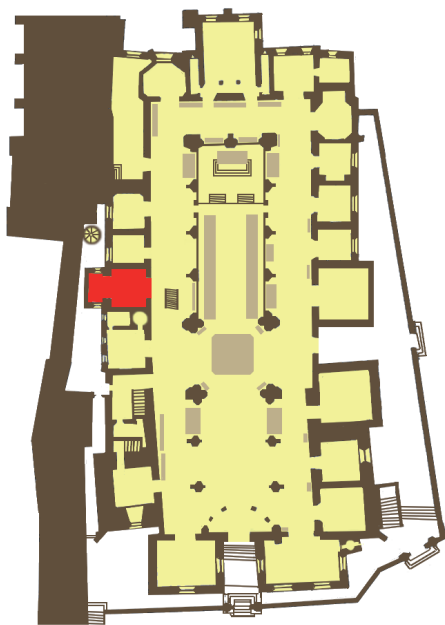
Fot. <http://dziedzictwo.polska.pl/>

lasterię krakowską (1612) i kanonikat w kolegiacie sandomierskiej (1614). Objął nadto parafię w rodzinnym Rzeplinie w diecezji chełmskiej, skąd usunął kaznodzieję ewangelickiego. Jeszcze też w r. 1602 lub 1603 wyjechał na dalsze studia do Rzymu, gdzie przebywał przez trzy lata. Uzyskał tam licencjat teologii, a 14

kwietnia 1605 r. odbyła się – również w Wiecznym Mieście – jego promocja na doktora obojga praw.

Powróciwszy do kraju włączył się Andrzej Lipski w życie kościelne i polityczne Rzeczypospolitej. M.in. kilkakrotnie reprezentował kapitułę katedralną z Krakowa w Trybunale Koronnym i na synodach prowincjonalnych, gdy z kolei z ramienia monarchy sprawował różnorakie misje dyplomatyczne. Natomiast u boku zasiadającego w latach 1607-1616 na krakowskiej stolicy biskupiej Piotra Tylickiego, któremu zawdzięczał przed laty start do swej kariery, pełnił funkcję kanclerza. Po śmierci tegoż hierarchy (nastąpiła ona 13 lipca 1616 r.) został Lipski wybrany 16 lipca 1616 r. przez miejscową kapitułę katedralną administratorem wakującej diecezji i był nim do 7 grudnia t.r. Na tym też stanowisku zastała go królewska nominacja na rządcę biskupstwa łuckiego.

Prekonizacji udzielił Andrzejowi Lipskiemu dnia 20 lutego 1617 r. papież Paweł V. Nie dane wszakże było nowemu ordynariuszowi poświęcić się wyłącznie sprawom powierzonej mu diecezji, już bowiem 23 marca 1617 r. król Zygmunt III ustanowił go podkanclerzym koronnym, a z kolei 5 grudnia 1620 r. awansował na kanclerza wielkiego koronnego. Ten ostatni urząd zachował Lipski aż do r. 1625, będąc też przez jakiś czas kanclerzem królowej Konstancji Habsburżanki. Mimo pełnienia tak odpowiedzialnych obowiązków państwowych nie zaniebdywał on spraw biskupstwa, W r. 1621, zapewne wczesną wiosną, przeprowadził synod diecezjalny, który odbył się w Janowie Podlaskim, a jego statuty jeszcze w tym samym roku wyszły drukiem w Krakowie. Zobowiązał on wówczas podległe sobie duchowieństwo do prowadzenia rejestrów parafian, poczynił też kroki w kierunku ostatecznego uporządkowania



Kaplica Lipskich na Wawelu – miejsce spoczynku bpa Andrzeja Lipskiego – na planie wnętrza katedry wawelskiej

Rys. Wikipedia

organizacji terytorialnej poszczególnych parafii (ich rozgraniczenia). Do Stolicy Apostolskiej przesłał relację o stanie biskupstwa. W r. 1622 zdecydowanie wystąpił przeciwko przyznaniu przez papieża Pawła V koadiutorii dziekani katedralnej w Łucku Piotrowi Uszyńskiemu i dzięki poparciu króla osiągnął w tym względzie pomyślny rezultat. Samemu przebywając zwykle poza diecezją i dla tej racji nie mogąc spełniać w niej regularnie funkcji biskupich, wystarał się u Stolicy Apostolskiej o utworzenie urzędu sufragana, któremu też zapewnił stosowne uposażenie w postaci dwóch wsi położonych w regionie Kowla (Kołodężno i Kołodżeńska Wola), należących uprzednio do dóbr biskupich (*mensa episcopalis*).

Pierwszym biskupem pomocniczym dla Łucka został też prekonizowany 4 grudnia 1617 r. ks. Stanisław Udrzycki, a gdy ów niedługo później zmarł, drugim z kolei sufraganiem został 21 lutego 1622 r. ks. Franciszek Zajerski. Do bliskich współpracowników Andrzeja Lipskiego w tym okresie zaliczał się też jego rówieśnik ks. Stanisław Łoza, ówczesny kustosz łuckiej kapituły katedralnej i proboszcz w Tykocinie, który m.in. reprezentował ordynariusza w kwietniu 1621 r. na synodzie prowincjonalnym w Piotrkowie, a który w kilkanaście lat później także został tutaj biskupem pomocniczym (1634).

Po śmierci biskupa włocławskiego Pawła Wołuckiego († 15 XI 1622), również niegdysiejszego pasterza diecezji łuckiej, królewską nominację na jego następcę otrzymał w początkach roku 1623 właśnie Lipski. Pojawiły się jednak trudności z wyłonieniem jego z kolei sukcesora (o czym w następnym szkicu), tak iż dopiero w połowie września 1623 nuncjusz Jan Baptysta Lancellotti przekazać mógł sprawę do Rzymu, a nowy papież Urban VIII wyraził zgodę na translację 20 listopada t.r., zezwalając nominatowi zachować jeszcze przez trzy lata scholasterię plocką. Na stolicy biskupiej we Włocławku zasiadał Andrzej Lipski siedem lat (1623-1630). W tym czasie m. in. odbył w r. 1625 wizytę ad limina apostolorum w Rzymie, jak też przeprowadził w r. 1628 synod diecezjalny. Fundował również klasztory franciszkanów-reformatów w Choczu (1625) i Włocławku (1625). Tamże w Choczu, którą to miejscowość nabył na własność w r. 1620, ufundował i uposażył okazałą świątynię, dla której też wystarał się u Stolicy Apostolskiej o tytuł kolegiaty (przyznany jej już po jego śmierci – w r. 1632).

Przeniesiony 2 grudnia 1630 r. na biskupstwo krakowskie, odbył Andrzej Lip-

ski 20 stycznia 1651 r. uroczysty ingres do katedry na Wawelu. Zaledwie jednak 4 września 1651 r. zmarł podczas pobytu w Warszawie. Pochowany został w krakowskiej katedrze, w podziemiach kaplicy ŚŚ. Mateusza i Macieja, której przebudowę na miejsce swego wiecznego spoczynku zdążył jeszcze rozpocząć za życia.

Krzysztof Rafał Prokop

[Krzysztof Rafał Prokop, „Sylwetki biskupów łuckich”, Biały Dunajec – Ostróg 2001, s. 77-80.]



**Herb „Grabie”
biskupa Andrzeja Lipskiego**